

Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 18 lipca 1948 r.

Nr 29 (150)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PABLO NERUDA

Przełożył Adolf Sowiński

KRONIKA ROKU 1948 W AMERYCE

I

Roku zły, roku szeszurów, roku nieczysty!
Wysokie i metaliczne są twe granice
na brzegu oceanu
i powietrza niby kraty
z burz i niezgody.
A jednak, Ameryko, i ty bywasz
błękitna wśród nocy, bywasz zapadłym
bagniskiem i niebem, konaniem
serc podeptanych
jak czarne pomarańcze, opadłe
w twej ciszy z dna okrętu.

II

Paragwaj nie ma już wędzida praw!
Komu służy jasny księżyc,
który oświetlał karty
pozłacanej geometrii?
Komu służy myśl
odziedziczona po kolumnach
i po uroczystych hezbach?

Służy wykarmionym czeluściom
zgnieć krwi, wątrobie
porównania dnia z nocą,
wyrwanej przez śmierć.
Służy panowaniu Moriniga,
który w kałuży z parafiny
przykucał na wiezieniach,
podczas gdy szkarlatne pióra
elektrycznych kółbrów
unoszą się i błyskają ponad
pozabłanymi nędzarami z puszczy.

III

Roku zły, roku róż, które uschły nim
zakwitły,
roku karabinów, strzeż się, spuść oczy,
aby cię nie oślepiło
aluminium samolotów, muzyka
ich pośpiechu sucha i dźwięcząca:
spójrz na twój chleb, twą ziemię, lud
torturowany,
na twe zniszczone gniazdo.

Czy z wysokości nieba widzisz tę dolinę
zieloną i spociętą?
Oto chłopci pobladli, górnicy
w lachmanach, cisza i placz
jak zboże, które się odradza
jako wieczność przeklęta,
gdy się raz posieje.

IV

Brazylia: Dutra, przeraźliwy
paw ziem gorących,
objęty gorzkimi
wziewami zatrutego powietrza:
ropucha o skrzydłach czarnych i bagnistych
pod naszym amerykańskim księżycem:
złoczony wrzód, małe oczy
amarantowej myszy.
O, Panie, tyłu jest domowników
naszej biednej matki cierpiącej głód,
tyle marzeń i wspaniałych
oswobodzicieli, tyle
potu w jamach
kopalni, tyle i tyle
osamotnienia na plantacjach,
o Ameryko, nagle podnosisz
ku swej jasności planetarnej
Dutrea, który wyszedł z otchłani
twych gadów, z głuchej
głębi twej prehistorii.
A niech się tak stanie:
brazylijscy
wolnomularze, uderzenie w granice,
rybacy, płaczące po nocy
nad wodami przybrzeżnymi,
gdy Dutra o małych
oczach dzikiego wieprza
rozbija siekierą drukarnie,
pali książki na placach,
zamyka do więzień, prześladuje i bata używa
aż cisza zapada
w naszej nocy posępnej.

V

Na Kubie ludzi mordują!
Włożono już Jezusa Menendezza
do skrzyni ledwo co zbitej.
Pojawił się niby książę ludu,
kroczył wstrząsając korzenie,
zatrzymując przechodniów,
uderzając ospałych pod brode,
kładąc fundament dla wieków,
podnosząc dusze złamane
i dobywając cukier
z krwawych pól trzciny cukrowej
w pocie, od którego butwieją kamienie
rozpylające w ubogich
garkuchniach: Kim jesteś? Co ci jeść dano?

tu dotykając ramienia, tam rany
i skupiając milczenie
w jeden jedyny głos, chrapliwy
i rwany głos Kuby.

Ten, który go zabił, był jakimś kapitanem,
jakimś generałem, w pociągu
rzekł doń: chodź. I wypalił mu w plecy,
ów generał,
ażby zamilkł chrapliwy
głos trzciny cukrowej.

VI

Roku zły, czyliż nie widzisz za grubym
cieniem zarosłi wstęg
naszej geografii?
Fala rozbija,
jak plaster miodu, swe błękitne pszczoły
o brzeg i zbiegają się zajączki z tych
zwierciadełek
na wąską ziemię pośród dwu mórz.

Ziemia cienka jak bicz,
gorąca jak tortura,
tym brodem jest Honduras, twoja krew
leje się nocą na San Domingo,
twe oczy, które docierają do mnie
aż od Nikaragwy, przyzywają mnie i naglą
i po całej ziemi amerykańskiej
pukam do drzwi, by tłumaczyć,
podnosząc franki
dotykam zwizanych języków, zanurzam
ręce we krwi:
o, boleści
meją ziemi, o rzężenia
w olbrzymiej ciszy despotyzmu,
o ludy wśród długich cierpień,
o przepasko złożona ze wszystkich szlochów.

VII

Mister Truman przybywa na wyspę
Porto Rico,
schodzi nad wodę
niebieską naszych czystych mórz,
aby w niej umyć zakrwawione palce.
Cofa się, aby wydać wyrok śmierci
na dwustu młodych Greków.
Jego kartaczońce działają
precyzyjnie,
codzień
na jego rozkaz doryckie
głowy — winorośl z oliwką —
oczy starożytnego morza, płatki
korynckiej głowicy
padają w grecki kurz.
Mordercy
razem z ekspertami północno-amerykańskimi
piją pomiędzy dwoma wybuchami śmiechu
słodkie wino z Cypru,
a z wąsów ścieka im smażona oliwa
i grecka krew.

Truman przybywa nad nasze wody,
aby w nich umyć ręce czerwone
od krwi dalekiej, a potem
wydaje dekrety, wygłasza kazania
i uśmiecha się
w Uniwersytecie, mówi w swym języku,
zamyka usta kastylijskie,
gasi światło słów,
które snuły się tędy, jak
rzeka urodzona z kryształu
i wyrokuje: „Śmierć twemu językowi,
Porto Rico“.
(Krew Greków
leje się o tej godzinie. Na pagórkach
budzi się dzień.
To zwykły
strumień miedzy kurzawą i kamieniami.
Pasterze brodzą we krwi
pasterzy —
to zwykła
i cienka struga, która zstępuje
z gór aż do morza,
aż do morza, które rozumie i śpiewa).

VIII

Ku ziemi, ku morzu obróć oczy,
popatrz na jasność w południowych
wodach i śniegach, słońce buduje winorośl,
świeci pustynia, pojawia się morze chilijskie
z brzegiem, o który uderza...

W Łoła są głębokie kopalnie
węgla: to zimny port.
Deszcz surowej zimy południa
pada i pada na dachy, skrzydła
mew mają kolor mgły.

a pod ponurym morzem człowiek
draży i draży czarną głąb.
Życie człowieka jest posępne
jak węgiel, noc w lachmanach,
chleb oplakany, twardy dzień.

Wiele chodziłem po świecie,
ale na żadnej z dróg
i w żadnym z miast nigdy nie widziałem,
aby tak ludzi krzywdzono.
Po dwanaścioro sypia się tu w izbie.
Domy mają
dachy bez nazwy:
skrawki białej blachy, kamienie,
tektura i miążga z papieru.
W wilgotnej parze mroźnego dworca
dzieci i psy
skupiają się, aby udzielać sobie wzajemnie
ognia

swych nędznych żywotów, które pewnego
dnia
staną się połączeniem głodu i ciemności.
Strajk jeszcze jeden, płace
nie wzrastają, kobiety płaczą
w kuchniach, górnicy
łączą swe ręce
i udręki.

To strajk
tych, którzy kopali pod morzem
zgieci w jamach wilgotnych
i wydobywali za cenę krwi i siły
czarną głąb kopalni.

Tym razem przybyli żołnierze.
Nocą zburzyli domy górników,
a ich samych zawiedli do kopalni
jak do twierdzy, złupiwszy im wcześniej
hełm mąkę i ziarno ryżu, chowane
przez górników dla dzieci.
A potem ich tłukli o ściany,
wypędzili, stłoczyli,
zbili w trzode, pocechowali
jak bydło, a na drogach
kolorowego exodu
wojownicy węgla
ujrzeli swe dzieci powypędzane,
ujrzeli swe żony zelżone
oraz innych górników setkami
wyrzniętych i uwiezionych
w Patagonii, w mrozie antarktycznym
i na pustyniach Pisagui.

IX

Na tych wszystkich nieszczęściach
trwał tyran, który się uśmiechał
i pluł na nadzieje
zdradzonych górników.

Każdy lud ma swe nieszczęścia,
każda walka sprowadza cierpienie,
ale powiedzcie mi,
czy wśród krwiożerców,
wśród wszystkich despotów
spuszczonych z łańcucha, ukoronowanych
nienawiścią,

mających jako berło zielone batogi,
istnieje równy despotcie z Chili?
Ten został zdrajca, podeptał
własne obietnice i uśmiechy,
ten z nienawiści uczynił swe berło,
ten tańczył ponad cierpieniami
swego biednego ludu, na który padała
plwocina.

A kiedy w więzieniach, napelnionych
przez jego wiarołomne dekrety,
skupiły się czarne oczy
zelżonych i poranionych,
on tańczył w Vina del Mar,
otoczony klejnotami i kielichami.

Ale czarne oczy spoglądają
poprzez czarną noc.

X

A cóż ty uczynił? Czyż twoje słowo
nie dotarło do brata z głębi kopalni,
czy nie ulżyło w cierpieniach ludzom
zdradzonym,
czy zgłoska ognista nie stała się czymś,
co bierze twój naród w obronę i praw jego
dochodzi?

Oskarżałem tego, który
zdusił nadzieję,
wołałem na wszystkie cztery strony Ameryki
i umieściłem swe imię na dnie
pohańbienia.
Zarzucałem mi
dokonanie przestępstw, sfera
sprzedawczyków, przekupionych

„Dzielo Rewolucji Francuskiej nie
ogranicza się tylko do tego, co ona
osiągnęła i co się utrzymało we Francji;
tkwi ono również w zasadach, które
Rewolucja przekazała następnemu stu-
leciu, w słupie granicznym, który wbiła
dla przyszłości“.

Kropotkin

TREŚĆ NUMERU:

- PABLO NERUDA —
KRONIKA ROKU 1948 W AMERYCE
- ANTOINE SAINT-JUST —
MÓWA W SPRAWIE SĄDU NAD
LUDWIKIEM XVI
- GEORG LUKACS —
O TWÓRCZOŚCI EMILA ZOLI
- LEON GOMOLICKI —
MICKIEWICZ W MOSKWIE
- LEW TOLSTOJ —
WOJNA I POKÓJ (fragmenty w przekł.
Z. Petersowej)
- STEFAN ŻÓLKIEWSKI —
A JEDNAK SIĘ PORUSZA...
- JAKUB LITWIN —
O WIELKIEJ REWOLUCJI FRAN-
CUSKIEJ
- JAN SZCZEPANSKI —
TRUDNE „WPROWADZENIE“
- STEFAN FLUKOWSKI —
Z TEATROW KRAKOWSKICH
- R. M. —
PO FESTIWALU TEATROW
ŚWIETLICOWYCH
- JEAN KANAPA —
W AMERYCE SĄ DWIE LITERA-
TURY
- NATALIA KIRYŁOWICZ —
JESZCZE W SPRAWIE
LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ
- KORRESPONDENCJA
- NOTY

sekretarzy rządu
i szpiclów wypisywała o mnie
czarną mazią chamskiego oszczerstwa,
ale mury były świadkami,
że gdy zdrajcy pisali wielkimi literami
moje nazwisko, noc ścierała je
swymi niezłęczonymi rękoma,
rękoma ludu i nocy,
ścierała pohańbienie, którym na próżno
chciano zabić mój śpiew.
Postanowiono tedy nocą spalić
mój dom (teraz ogień piętnuje
imię tego, który posłał zbirów)
i zebrał się wszyscy sędziowie,
by mnie potępić, seigali mnie,
by ukrzyżować moje słowa,
a ochłostać swoje prawdy.
Zamknęli chilijskie
Kordyliery, abym nie uszedł
i nie opowiedział tego, co się działo,
a gdy Meksyk otworzył swe bramy,
by mnie przyjąć i osłonić,
Torres Bodet, sam lichy poeta,
rozkazał, aby mnie wydano
wsiekiemu gniewowi ślepaczy.
Wszelako słowo me żyje,
a moje wolne serce oskarża.

XI

I cóż się jeszcze zdarzy? Cóż się może
zdarzyć?

Noc w Pisagui, więzienie, kajdany,
cisza, ojczyzna upodłona
i ten zły rok, rok ślepych szeszurów,
ten zły rok gniewu i mściwości.
Co się wydarzy? Pytasz? Ty mnie pytasz?
Do tej walki należy moje serce.
Mój lud zwycięży. I jeden po drugim
wszystkie ludy zwyciężą.

Cierpienia
ukazą się jak chusty, na których ślad został
po tylu łzach, wylanych
w katorżce na pustyni, nad grobami,
na stacjach ludzkiego męczeństwa.

Albawiem bliski jest czas zwycięstwa,
gdy nienawiść będzie istniała jedynie po to,
aby nie zdrząły
ręce karzące,

aby godzina
nadeszła o przeznaczonej godzinie, w chwili
nieskażonej,
i aby lud napelnił wolne ulice
nowym i mocnym przypływem.

Temu czasowi służy moja miłość.
Znać ją: nie mam innego sztandaru.

Jaki kraj w Ameryce, luty 1948.

ANTOINE SAINT-JUST

Mowa w sprawie sądu nad Ludwikiem XVI^{*)}

tłum. Henryk Rosłworowski



Antoine Saint-Just

BYWATELE! Celem moim jest dowieść, że król może być sądzony; że obie opinie, a więc zarówno twierdzenie Morrissona o jego nietykalności, jak i zdanie komisji, że król powinien być sądzony, jako obywatel, są według mnie równie fałszywe. Król winien być sądzony na zupełnie odmiennych podstawach.

Komisja prawnicza, która bardzo słusznie stanęła na stanowisku, że wobec odwiecznej sprawiedliwości nie może się ostać nietykalność króla, nie wyciągnęła, jak się zdaje, wszystkich wynikających z tej zasady konsekwencji. I stąd projekt dekretu, który przedstawiła, nie jest wnioskiem, wypływającym logicznie z przyjętej raz zasady, i nie ma dzięki temu siły przekonywującej.

Jedynym celem Komisji było przekonanie Izby, że król winien być sądzony jako zwykły obywatel, ja zaś stoję na stanowisku, że król winien być sądzony jako wróg; że chodzi nam nie tyle o sąd nad nim, ile o jego pokonanie. A ponieważ nie jest on już niczym w umowie, która nas jako Francuzów łączy, winniśmy go sądzić nie według obowiązującej wobec obywateli procedury, ale na podstawie prawa naturalnego.

Ten brak rozróżnienia pociągnie za sobą, jako skutek, poświęcenie samej zasady dla formy, co mogłoby spowodować bezkarność króla. Przeciagając się procesowi ześrodkowywałoby zbyt długo uwagę na jego osobie i mogłoby nawet robić wrażenie przesadnej surowości. Przekonałem się już nieraz, że źle zastosowana ostrożność i zbytnia powolność są właśnie najwyższą nieostrożnością, i za równie źle uważam odkładanie pracy ustawodawczej, jak przeciąganie sprawy królewskiej.

Może kiedyś ludzie równie dalecy od naszych przesądów, jak my dalecy jesteśmy od przesądów Wandalów, dziwić się będą barbarzyństwu epoki, która uważała sąd nad tyranem za coś w rodzaju zagadnienia religijnego. Może dziwić się będą, że naród, który miał sprawować sąd nad tyranem, podniósł go do godności obywatela, jeszcze przed rozpatrzeniem jego zbrodni, i więcej był zatroskany o to, co o nim powiedzą, niż o to, co ma zrobić i przestępce najgorszego rodzaju, bo ciemiężyciela, podniósł do godności męczennika swego stanu.

Może kiedyś dziwić się będą, że w wieku XVIII-tym zafacanie było większe, niż w epoce Cezara. Wtedy tyran zgładzony został w pełnym Senacie, jedyną formalnością były dwadzieścia trzy uderzenia sztyletu, a jedynym prawem wolność Rzymu. Dzisiaj, z wszelkimi względami prowadzi się proces zabójcy ludu, zabójcy schwytanego na gorącym uczynku z ręką we krwi, z ręką w zbrodni!

Ci sami ludzie, którzy będą sądzili Ludwika, mają wzniesić gmach Rzeczypospolitej. Ale ci, którzy się tak troszczą o sprawiedliwość wobec króla nie zbudują nigdy Republiki. Wielką przeszkodą dla wolności jest subtelność naszych umysłów i przeczulenie charakterów. Skłonni jesteśmy upiększać wszystkie błędy, a prawda jest najczęściej tylko wyrazem naszych upodobań.

*) Przemówienie to, wygłoszone 13 listopada 1792 r., było pierwszym wystąpieniem Saint-Justa na trybunie Konwencji Narodowej.

Ze zbioru „Mowy rewolucyjne i publicystyka w wyborze” przygotowanego przez Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza”. Tłumaczenie Henryka Rosłworowskiego.

Referat komisji jest tego najlepszym potwierdzeniem. Morrisson idzie jeszcze dalej: dla niego wolność i suwerenność narodu istnieją jedynie „via facti”. Postawiono zasady, a nie zatroszczono się o ich naturalne konsekwencje. Stąd, w związku z powstaniem referatu komisji, zapanowała niepewność. Każdy sądził o procesie ze swego punktu widzenia. Jedni zdają się obawiać późniejszych skutków swej odwagi; inni nie wyrzekli się dotychczas monarchii; inni jeszcze obawiają się, że dowód cnoty obywatelskiej, wykazany w tej sprawie, wzmocni ducha publicznego i jedność Republiki, inni wreszcie pozbawieni są energii w działaniu. Klótnie, intrygi i gniew, które na przemian wyprawiają swoje harce są, albo przebiegle obmyślonym hamulcem dla energii, której tak bardzo potrzebujemy, albo dowodem słabości ducha ludzkiego. Musimy więc iść śmiało ku naszemu celowi, jeśli pragniemy Republiki, wziąć się do działania z całym poczuciem odpowiedzialności. My między sobą sądzimy się bardzo surowo, powiedziałbym nawet, że więcej niż surowo, bo z gniewem i namietnością. Myślmy o tym, by pobudzić energię ludu i wzmocnić dążenie do wolności, a tymczasem pobłażamy wspólnemu wrogowi, i każdy się trwożnie ogląda przed zadaniem pierwszego ciosu. Szukamy wolności, a stajemy się niewolnikami jedni drugich. Szukamy natury, a żyjemy uzbrojeni po zęby, jak opanowani szałem dzicy ludzie. Pragniemy Republiki, niepodległości i jedności, a jesteśmy rozbiici i oszczędzamy tyraństwa.

Mam wrażenie, że odbywa się poszukiwanie ustawy, którąby pozwoliła ukarać króla, a przeciw w ustroju, z którym zrywamy, monarcha właśnie był w oczach obywateli nietykalny. Ja między królem a narodem nie uznaję już żadnej więzi naturalnej. Być może, że naród układając klauzule umowy społecznej, dążył do nadania stworzonemu przez siebie instytucjom charakteru, któryby wzbudzał dla nich szacunek, obowiązujący każdego i wszystkich. Ale to było robione w interesie ludu. Wbrew niemu nie można nadać żadnemu urzędowi tego czy innego charakteru, bo naród może w każdej chwili to odwołać. Obywatele wiążą się ze sobą umową, suweren natomiast nie jest żadną umową związany. Panujący nie miałby nad sobą sędziego, byłby więc tyranem. Nietykalność Ludwika nie może rozciągać się na jego zbrodnię, bo gdyby się go jeszcze i po zbrodni uważało za nietykalnego, czy nawet tylko poddawało się w wątpliwość tę sprawę, wynikałoby z tego, obywatele, że król nie mógłby być pozbawiony tronu i miałby nadal możność uciskania nas, ale już pod odpowiedzialnością za ten stan rzeczy samego narodu.

Pakt jest umową między obywatelami, a nie umową z rządem. Dla tego, kto nie jest w niej stroną, umowa nie istnieje, a więc i Ludwik, który nie był stroną w pakcie z narodem, nie może być sądzony według ustaw obowiązujących. Stosunek jego do narodu miał charakter ucisku: zobowiązywał tylko obywateli, a nie króla. Taki pakt nie może być ważny, bo wszystko, co nie ma sankcji moralnej i jest przeciwne naturze, nie może być legalne, nie może mieć mocy prawnej.

To są względy, które uzasadniają sądenie Ludwika nie jako obywatela, ale jako buntownika. A pozbawienie go prawa mogłoby na powoływać się na nasze zobowiązanie sądenia go, jako obywatela, kiedy sam złamał jedyne zobowiązanie, które wobec nas przyjął, to, żeby nas chronić. Czy nie byłoby to ostatnim aktem tyranii domagać się sądu na podstawie praw, które sam zniszczył? I gdybyśmy wyrazili naszą zgodę na sądenie go według praw obowiązujących, to znaczy na sądenie go, jako obywatela, on na tej samej podstawie sądziłby nas, sądziłby nawet naród.

Ja osobiście jestem przeciwny półśrodkom: ten człowiek musi panować, albo umrzeć. On będzie wam dowodził, że wszystko, co zrobił, zrobił dla zachowania depozytu władzy, który mu został powierzony. Wdając się z nim w te dyskusje, nie będziecie mogli żądać od niego rachunku z jego ukrytej złośliwości. Zgubi on was w błędnym kole, któreście sami w oskarżeniu swoim zakreśliłi.

W ten sposób, obywatele, uciśnione narody dobrowolnie, przez własną dumę nakładają na siebie więzy, kiedy jedynym punktem wyjścia prawa winny być zasady moralności i użyteczności powszechnej. Przywiązują się wagi do swoich błędnych poglądów, zabawiają się polemikami, zamiast iść prostą drogą ku prawdzie.

Jakiej procedury, jakich dochodzeń chcecie się trzymać wobec postępku i niebezpiecznych zamysłów króla?

Uznawszy, że nie jest on nietykalny wobec suwerennego narodu, przestałmy wobec jego zbrodni, wypisanych wszędzie krwią ludu, krwią waszych obrońców, która spłynęła aż do waszych stóp, widzieć w nim króla. On uciskał wolny naród, okazał się jego wrogiem, praw nadużywał, musi umrzeć, by zabezpieczyć spokój narodu, skoro w jego zamiarach leżało zdobycie własnego spokoju kosztem ucisku obywateli. Czyliż nie zrobił on przeglądu wojska przed jego użyciem? Czyż nie uciekł sam, zamiast zabronić mu użycia broni? Co zrobił król dla powstrzymania wściekłości swoich żołdaków? Proponuję wam, by go sądzić jako obywatela, kiedy wy sami przyznajecie, że on obywatelem nie był i że zamiast bronić narodu, poświęcał go dla siebie.

Powiem więcej. Konstytucja uznana przez króla nie obowiązuje obywateli. Oni nawet przed jego zbrodnią mieli prawo pozbawić go władzy i przepędzić. A wy mielibyście sądzić króla jako obywatela? Te słowa zadziwiają rozumującą na chłodno potomość. Sądzić znaczy stosować prawo. Prawo związane jest z pojęciem sprawiedliwości. Jakż może być związek między ludzkością a królestwem? Co wspólnego ma Ludwik z narodem francuskim, by go oszczędzać po dokonanej przez niego zdradzie?

Człowiek o charakterze szlachetnym mógłby w innych czasach twierdzić, że król winien być sądzony nie za zbrodnię swoich zarządzeń, ale za sam fakt, że był królem, bo nic na świecie nie może zalegalizować tej uzurpacji. Monarchia, choćby się powoływała na nie wiedzieć jakie umowy jest wieczystą zbrodnią, i każdy ma prawo uzbroić się przeciwko niej. Ona jest jednym z tych zamachów, którego nawet zaślepienie całego narodu nie może usprawiedliwić.

Naród taki staje się zbrodniarzem przez przykład, jaki daje, i wszyscy ludzie mają dane sobie przez naturę posłannictwo tajemnicze; by wykorzenić tyranie, wszędzie, gdzie ona panuje.

Nie można panować i być bez winy: to jest zbyt rzucające się w oczy szaleństwo. Każdy król jest buntownikiem i uzurpatorem. Czyż sami królowie traktowali inaczej tych, których uważali za uzurpatorów swojej władzy? Czyż nie zrobiono procesu pamięci Cromwella? A przeciw Cromwell nie był bardziej uzurpatorem od Karola I. Bo, kiedy naród jest tak nikczemny, że pozwala tyranom rządzić sobą, władza staje się prawem pierwszego lepszego i nie jest ani bardziej święta, ani bardziej prawowita na tej, czy innej głowie.

To są względy, o których naród szlachetny i republikański nie może zapominać, kiedy chodzi o sąd nad królem.

Mówią nam, że król powinien być sądzony przez trybunał, jak inni obywatele. Ale trybunały ustanowione zostały wyłącznie dla członków społeczeństwa i nie bardzo rozumiem, jaką drogą i przez jakie zlekceważenie zasad, na których opiera się instytucje prawa publicznego, trybunał miałby być sędzią między królem i suwerenem? I w jaki sposób miałby sąd możność restytuować ojczyźnie władzę i rozgrzeszyć go, oraz w jaki sposób miałaby być wezwana przed trybunał wola powszechna?

Powiedzą wam, że wyrok będzie ratyfikowany przez Naród. Ale skoro Naród ma ratyfikować wyrok, dlaczegożby sam nie miał sprawować sądu? Gdybyśmy nie odczuwali słabości tych argumentów, byłibyśmy niewolnikami bez względu na formę rządu, którą byśmy wprowadzili. Suweren nie byłby nigdy na właściwym miejscu, ani urzędnik na swoim, a naród byłby pozbawiony wszelkiej gwarancji przeciwko uciskowi.

Obywatele! Trybunał, który ma sądzić Ludwika, nie jest normalną instytucją sądową. To jest rada, to jest naród, to jesteście wy, a prawa, których mamy się trzymać są prawami narodów. To wy macie sądzić Ludwika, ale nie możecie być wobec niego i trybunałem sądowym, i przysięgłymi i oskarżycielami. Ta procedura uczyniłaby sąd niesprawiedliwym i król, jako obywatel nie mógłby być sądzony przez tych samych, którzy go oskarżają. Ludwik jest cudzoziemcem wśród nas. On nie był obywatelem przed popełnieniem zbrodni: nie posiadał praw wyborczych i nie mógł nosić broni. O ileż mniej jest obywatelem po zbrodni! Nie byłoby to nadużyciem sprawiedliwości

*) Za suwerena Saint-Just uważa naród.

robić z niego obywatela, na to, żeby go skazać? Z chwilą popełnienia zbrodni człowiek wyłącza się ze społeczeństwa przez zbrodnię? Powiem wam więcej: gdybyście uznali króla za zwykłego obywatela, o jakich jego obowiązkach moglibyście mówić w dzisiejszym stanie rzeczy?

Obywatele! Jeżeli zazdrośni jesteście o to, by Europa podziwiała sprawiedliwość waszego sądu, winniście się tymi, o których mówię, kierować zasadami. Te natomiast, które proponuje komisja, byłyby niesprawiedliwymi. Formy w procesie są hipokryzją, was będą sądzili według zasad, których byliście wyraziłami.

Nie przestanę nigdy myśleć, że duch, w którym będzie sądzony król, będzie tym samym duchem, w którym założona zostanie Republika. Zasady, na których opiera się wasz sąd, staną się zasadami waszych instytucji. A filozofia, którą zastosujecie przy tym wyroku, będzie miarą wolności, którą wprowadzicie do Konstytucji.

Powtarzam: nie można sądzić króla według praw krajowych. Sprawozdawca komisji wam to słusznie oświadczył, ale ta myśl zbyt wcześnie zgasła w jego duszy i nie przyniosła owocu. W ustawach Nury nie było żadnych podstaw do sądenia Tarkwiniusza, ani w ustawach angielskich do sądenia Karola I. Sądzono ich zgodnie z prawem narodów: siłą odparto się, usunięto cudzoziemca i wroga. I to właśnie zadecydowało o legalności tych czynów, a nie formalności proceduralne, opierające się na zgodzie obywatela, wyrażonej w umowie społecznej.

Nie przeciwstawiam nigdy mojej woli osobistej woli powszechnej, będę zawsze chciał tego, czego chce naród francuski, albo czego chce większość jego przedstawicieli, ale ponieważ mój pogląd dotyczy prawa, które jeszcze nie zostało uchwalone, wypowiadam się tutaj otwarcie.

Nie dosyć jest twierdzić, że z samej natury sprawiedliwości wieczystej wynika, że suwerenność narodu jest ponad istniejącą formą rządu i stąd wyprowadzać wnioski, że król powinien być sądzony; trzeba jeszcze sądzić go zgodnie z duchem prawa naturalnego i zgodnie z ideą suwerenności narodu. Nie będziemy mieli Republiki, jeśli tych pojęć nie będziemy rozróżniali, gdyż one leżą u podstaw porządku społecznego i regulują go tak, jak natura tworzy i reguluje życie z połączenia różnych elementów.

Wszystko, co wam powiedziałem, zmierzam do tego, żeby wam dowieść, że Ludwik XVI winien być sądzony jako wróg cudzoziemiec. Dodam jeszcze, że wyrok śmierci na niego nie wymaga sankcji narodu. Naród może wolać swoją narzucać prawo, bo one mają na celu jego dobro. Ale nawet naród nie jest władny zmaczać zbrodni tyranii, bo każdy człowiek ma w stosunku do tyraństwa swoje własne prawo. I żaden akt suwerena nie może zobowiązać obywatela, by mu przebaczył.

Waszą jest więc rzeczą określić, czy Ludwik jest wrogiem ludu i czy jest dla niego obcy. Gdyby go większość Izby rozgrzeszyła wyrok wasz powinienby podlegać sankcji narodu. Bo jeżeli żaden obywatel nie może być przez akt suwerenny zmuszony do przebaczenia królowi, to tym bardziej suweren nie może być związany decyzją takiej czy innej instytucji.

Spieszcie więc sądzić króla, bo nie masz obywatela, któryby nie miał w stosunku do niego tego prawa, które miał Brutus w stosunku do Cezara. I nie moglibyście ukarać czynu, dokonanego wobec tego cudzoziemca tak, jak nie mogliście potępić śmierci Leopolda i Gustawa.

Ludwik był drugim Katyliną. Jego zabójca, tak jak konsul Rzymu uważałby się za zbawcę ojczyzny. Ludwik walczył z narodem i został zwyciężony. Jest barbarzyńcą, cudzoziemcem, jeńcem wojennym. Przejrzał się jego podstępne zamiary; widzieliście jego armie. Zdradca nie był królem Francuzów, był królem kilku spiskowców. Zarządzał tajne pobory rekruta, miał swoich prywatnych urzędników. Obywatele uważał za niewolników, skazywał w tajemnicy wszystkich ludzi wartościowych i odważnych. On jest winien zbrodniom Bastylli, Nancy, Pola Marsowego, Tournai i Tuillerii. Jakż wróg, jakż cudzoziemiec uczynił nam więcej zła od niego? Trzeba go sądzić szybko; tego żądam roztropność i rozum polityczny. On jest czymś w rodzaju zakładnika dla lotrów. Usiłuje się wzbudzić litość, wkrótce będzie się kupowało lzy; wszystko będzie zrobione, żeby nas wciągnąć, nawet przekupstwo. Ludu francuski, jeżeli król będzie rozgrzeszony, pamiętaj, że przesraniami być godni twego zaufania i będziesz nas mógł oskarżyć o zdradę.

GEORG LUKACS

Hum. Ryszard Mauszewski

O TWÓRCZOŚCI EMILA ZOLI

EMIL ZOLA był jako powieściopisarz historykiem codziennego życia Francji w czasie Drugiego Cesarstwa tak jak Balzac był historykiem codziennego życia w okresie Restauracji i Królestwa Lipcowego. Zola przyznawał się nawet do tego dziedzictwa. Protestował stale przeciwko twierdzeniom, przypisującym mu głoszenie całkowicie nowych zasad artystycznych; uważał się za spadkobiercę i następcę wielkiego realizmu z początków XIX wieku, realizmu Balzaca i Stendhala w którym w najdalszej perspektywie widział łącznik z literaturą XVIII stulecia. Jest oczywiste, że tak wybitny i oryginalny pisarz jak Zola nie mógł tego dziedzictwa traktować jako wzorca do zwykłego naśladowstwa: podziwiał on Balzaca i Stendhala, niezależnie od tego głosi jednak gwałtowną krytykę wszystkiego, co jego zdaniem z ich sposobu pisania należy jako martwe i przestarzałe usunąć, wprowadzając na to miejsce inne zasady twórcze, jakie sam uważa za płodne dla dalszego rozwoju realizmu (należy zauważyć, że Zola w swoich pismach teoretycznych nie mówi nigdy o realizmie, ale zawsze o naturalizmie).

Ale dalsze rozwinięcie realizmu przez Zolę odbywa się na drogach o wiele bardziej skomplikowanych, niż sam on był tego świadom. Między Balzakiem a Zolą stoi rok 1848, walki czerwcowe, pierwsza samodzielnie wystąpienie proletariatu, które w sposób rozstrzygający oddziaływało na ideologię francuskiego mieszczaństwa. Wraz z nim kończy się okres postępowej roli ideologii tego mieszczaństwa. Ideologia ta zaczyna dostosowywać się do warunków i staje się apologetą burżuazji.

Ale sam Zola nie stał się apologetą mieszczańskiego porządku społecznego. Przeciwnie, prowadzi on odważną walkę z początku na gruncie literackim, później często na polu politycznym przeciwko reakcyjnym tendencjom francuskiego kapitalizmu. W ciągu swego życia zbliża się coraz bardziej do zagadnienia socjalizmu, chociaż dopracowuje się tylko do nieco błędnej odmiany powieściopisarskiego utopizmu, w której brak właśnie genialnej, dialektycznej krytyki społeczeństwa przeprowadzonej przez Fouriera. Ideologia jego własnej klasy przenika jednak głęboko jego sposób myślenia, jego zasady, jego metodę twórczą. Nie świadomego ostrza krytyki społecznej brak przy tym u Zoli. Przeciwnie: jest ona energiczniejsza i bardziej postępową niż była u katolickiego rojalisty Balzaca.

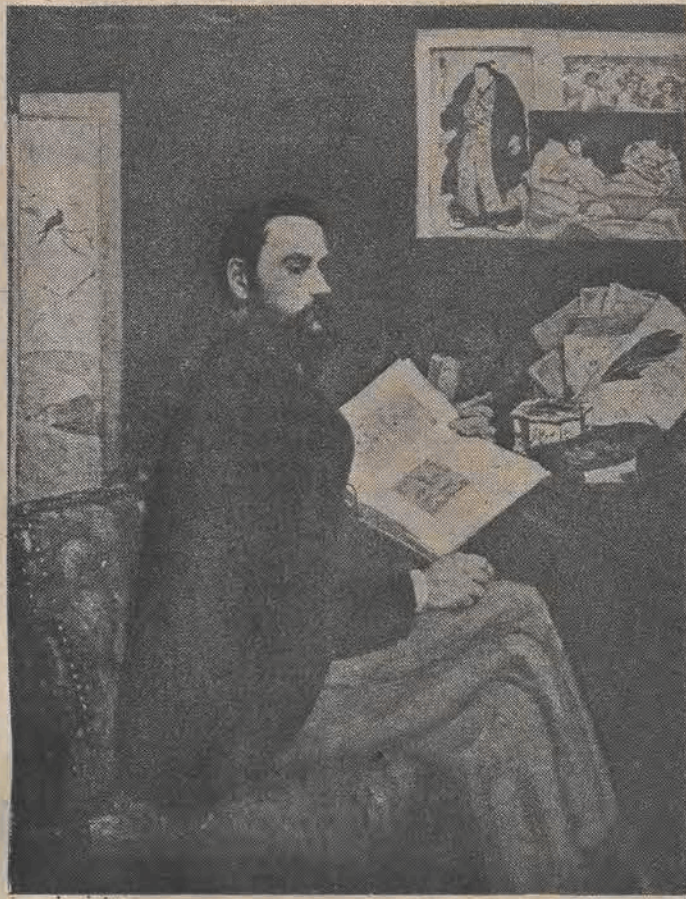
Balzac i Stendhal jednak, którzy opisali zatrważający proces przejścia od heroicznego okresu Rewolucji i Napoleona do romantycznej hipokryzji i płaskości Restauracji i do jeszcze brudniejszego, obłudniejszego filisterstwa Monarchii Lipcowej, żyli w społeczeństwie, w którym przeciwstawienie między burżuazją a proletariatem nie tworzyło jeszcze w stopniu tak jawnym osi dalszego społecznego rozwoju. O ile tedy Balzac i Stendhal mogli przeniknąć aż do głębi najostrejszych przeciwieństw mieszczańskiego społeczeństwa, o tyle taka bezkompromisowa otwartość i ostrość krytyki po roku 1848 musiałaby pisarza doprowadzić do zerwania z własną klasą. Do takiego zerwania ucczywy postępowy Zola również nie był zdolny.

I zajęcie takiego właśnie stanowiska, znajduje wyraz w jego poglądach metodologicznych w tym, że oryginalną dialektykę Balzaca, jego proroczą namietność w demaskowaniu sprzeczności kapitalizmu, odrzuca on jako nienaukową, romantyczną i zastępuje metodą „naukową”, która w ostatecznym wyniku pojmuje społeczeństwo jako **harmoinijną całość**, a krytykę społeczną formułuje jako walkę przeciwko schorzeniom, które występują w jednolitym organizmie społecznym, przeciwko „złym stronom” kapitalizmu.

Zola mówi: „organizm społeczny jest identyczny z biologicznym; w społeczeństwie podobnie jak w ciele ludzkim panuje harmonia, która łączy ze sobą różne organy i właśnie dlatego, kiedy jeden organ ulega gniciu, gnicie to przenosi się na inne organy, i tak rodzi się skomplikowana choroba”.

Zola sprowadzał swą „naukowość” do tego, że społeczeństwo mechanicznie identyfikował z organizmem ludzkim. Idąc konsekwentnie za tą myślą, krytykuje on wielki wstęp Balzaca do „Komedii Ludzkiej”. Balzac jak prawdziwy dialektyk rzucza w tym wstępie do samo pytanie, a mianowicie w jakim stopniu dialektyka rozwoju ras, tak jak ją rozwinął Geoffroy de Saint-Hilaire rozciąga się na społeczeństwo ludzkie, ale wysuwa przy tym śmiało nowe kategorie, które wynikają ze szczególnego charakteru dialektyki społecznej. Zola sądzi, że przez to zostaje podważona jedność „naukowej” metody, że ów sposób pojmowania Balzaca należy przypisać jego romantyzmowi „pomieszaniu” pojęć. Ale to, co pojmowaniu Balzaca przeciwstawia jako „rezultat naukowy”, jest niedialektyczną koncepcją organicznej jedności natury i społeczeństwa, wyłączeniem sprzeczności z podłoża ruchów społecznych; zasada „harmoinijnego” rozwoju społeczeństwa, która subiektywnie najuczciwszą i najodważniejszą krytykę społeczną Zoli zamyka w nieprzekraczalnym, zaszarowanym kręgu postępowej mieszczańskiej ograniczoności.

Na tym zasadniczym podłożu Zola rozwija z wielką konsekwencją metodę twórczą o dziedziczną po Balzaca i Stendhala. Nie jest bynajmniej przypadkiem, ani też wyłącznie przejawem przywiązania do bliskiego przy-



Edouard Manet

Emil Zola

jaciela i współtowarzysza walki, Flauberta, że Zola we Flaubercie widzi prawdziwe spełnienie tego, co u Balzaca dopiero kiełkowało i po raz pierwszy torowało sobie drogę.

O „Madame Bovary” Zola pisze w sposób następujący: „Wydaje się, że wzór nowoczesnej powieści, który w kolosalnym dziele Balzaca znajdujemy w postaci rozproszony (u Flauberta) został podany jasno na 400 stronach. W ten sposób został napisany kodeks nowoczesnej sztuki”.

Zola uważa następujące czynniki za podstawę wielkości Flauberta: przede wszystkim wyzbycie się elementów romantycznych. „Kompozycja polega tylko na tym, że wybiera się wydarzenia i ustala określenia, harmonijny porządek ich rozwoju... Same wydarzenia są najzupełniej przeciętne. Wyklucza się wszelką wyjątkowość i niezwykłość... Powieść rozwija się w ten sposób, że wszystko opisuje z dnia na dzień, nie przynosząc żadnych niespodzianek”. Według Zoli Balzac osiągnął również gdzieś niedzięły realizm wyraz codziennego życia. — „Ale zanim doszedł do tego, by troszczyć się wyłącznie o dokładny opis, przez długi czas szalał wśród wynalazków i gubił się w poszukiwaniu fałszywej wielkości i grozy”.

Po drugie: „jeśli powieściopisarz uznaje za podstawę zasadę ukazania zwykłego przebiegu życia i przeciętnej egzystencji, musi zlikwidować bohaterów. Przez bohaterów rozumie przesadnie wyolbrzymione postaci, lalki kolosalnych rozmiarów. Ci wyolbrzymieni bohaterowie obniżają poziom powieści Balzaca, podczas gdy on uważa, że uczynił je nie dość gigantycznymi”. „W metodzie naturalistycznej znika przesada artysty, brak miary i dziwactwo kompozycji”, „wszystkie głowy zostają zrównane na tym samym poziomie, gdyż rzadkie są okoliczności, które pozwalają nam ujrzyć człowieka rzeczywistości przewyższającego innych”.

Widzimy już jasno, z jakiego stanowiska krytykuje Zola dziedzictwo wielkich realistów. Zola zajmuje się kilkakrotnie wielkimi realistami, zwłaszcza Balzakiem i Stendhalem i stale powtarza się u niego, z pewnymi zmianami ta sama zasadnicza myśl: Balzac i Stendhal byli wielcy, gdyż w licznych fragmentach i epizodach swych dzieł umieli odtworzyć zgodnie z prawdą ludzką namietność.

Ale obaj, zwłaszcza Stendhal, ulegają zdaniem Zoli, temu samemu fałszywemu romantyzmowi. O postaci Juliana Sorela w zakończeniu powieści „Czerwone i czarne” Zola pisze: „Mija się ona całkowicie z codzienną prawdą, której granice przekracza tu psycholog Stendhal tak samo, jak Aleksander Dumas, który karmi nas do przesytu niezwykłościami. Z punktu widzenia ścisłej prawdy Julian Sorel przedstawia dla mnie tyle niespodzianek co d'Artagnan”. W ten sam sposób krytykuje Zola Matyldę de la Moile, wszystkie postaci „Pastelni Parmeńskiej”, balzakowskiego Vautrina i wiele innych jego postaci.

Cały stosunek Juliana i Matyldy to dla Zoli intelektualna zabawka i dzielenie włosów na czworo, obie postaci uważa on za skonstruowane w sposób całkowicie sztuczny. Nie zauważa on wcale tego, że Stendhal mógł ukazać typowość wielkiego konfliktu idei tylko przez wymyślenie tych absolutnie nieprzeciętnych, całkowicie wyjątkowych postaci: tylko w ten sposób mógł przeprowadzić pełną krytykę zakłamania epoki Restauracji, tego co było jej zagubionym, wspólnym sensem; tylko w ten sposób mógł ukazać chel-

wą i przyziemną kapitalistyczną treść feodalno-romantycznej ideologii. Tylko przez wymyślenie postaci Matyldy, w której ideologia romantycznej reakcji ucieleśniona została, choćby w sposób teoretycznie przesadny, ale w pełni swej namietnej siły, Stendhal osiągnął takie napięcie akcji i takie konkretne sytuacje, w których przeciwstawienie się tej ideologii i jej bieżącej społecznej, reprezentowanej przez plebejski jakobinizm napoleoński Sorela — mogło być wydobycie w całej pełni w starciu się najniższych materialnych interesów i najwznioślejszych idei.

Tak samo nie dostrzega Zola tego, jak bezwzględnie potrzebna będzie Balzakowi potężna postać Vautrina, aby z czysto osobistej i indywidualnej katastrofy ambicji Lucjana de Rubempré uczynić szeroko zakrojoną tragikomedie całej klasy panującej okresu Restauracji i z tej tragikomedii móc uczynić obraz rozkładu całego społeczeństwa tego okresu od przygotowującego zamach stanu króla do zabiegających o jego sprawę biurokratów.

Zola mówi w związku z tym o Balzaku: „Jego fantazja, ta niezająca reguła fantazja, która wpędziła go w przesadę, którą wiedziona chciał stworzyć na nowo świat, irytuje mnie bardziej, niż pociąga. Czyż naprawdę nie ma już dla wielkiego powieściopisarza rzeczy ważniejszych niż owa fantazja, która dzisiaj stanowiłaby tylko patologiczne skrzywienie, curiosum naszej literatury?”

Według Zoli wielkość i nieśmiertelność Balzaca polega na tym, że był on jednym z pierwszych, którzy mieli „zmysł” rzeczywistości. Ale ów zmysł rzeczywistości demonstruje Zola w sposób, który gubi obraz wielkich przeciwieństw kapitalistycznego społeczeństwa w dziele Balzaca i wskazuje tylko na takie odtworzenie codziennego życia, które Balzacowi służyło wyłącznie jako środek ukazania owych przeciwieństw i za pomocą którego chciał on dać pełny obraz tego społeczeństwa w jego ruchliwej zmienności i różnorodności.

Jest w ogóle charakterystyczne, że Zola, a wraz z nim także Hippolit Taine, z najwyższym zachwytem mówią o postaci generała Hulota z powieści „Kuzynka Biętka”. Ale obaj widzą w nim tylko mistrzowskie odtworzenie manii erotycznej. Ani Zola ani Taine nie wspominają słowem o tym, z jakim kunsztem Balzac wywodzi namietność Hulota ze stosunków życiowych okresu napoleońskiego, choć nie byłoby rzeczą trudną to zauważyć, ponieważ Balzac wykorzystuje równie mistrzowsko postawioną figurę Crevela, jako postaci kontrastującej, aby wskazać na różnicę typu erotyki z czasów napoleońskich i z epoki Ludwika Filipa. Ani Zola ani Taine nie wspominają o zabiegach, za pomocą których Hulot chce dojść do pieniędzy, chociaż ukazując je Balzac rysuje znakomicie podłość i okrucieństwo początków francuskiej polityki kolonialnej.

Innymi słowy tak Zola jak Taine odcinają erotyczną namietność Hulota od jej społecznej podłoża i czynią z postaci społeczno-patologicznej — psychopatologiczną. Zważywszy te założenia jest oczywiste, że w wielkich bohaterach Balzaca i Stendhala, którzy są typami społecznymi, widzą tylko „przesadę” to znaczy romantyzm.

„Życie jest prostsze” — mówi Zola przy końcu swojej krytyki Stendhala i w ten sposób czyni pełnym przejściem od dawnego realizmu do nowego, od realizmu właściwego do naturalizmu. Rozstrzygających, społecznych

przyczyn owego przeobrażenia szukać należy w zmienionym przez rozwój mieszczaństwa sposobie życia pisarza: pisarz nie przeżywa już i nie bierze udziału w wielkich walkach swojej epoki, zostaje zdegradowany do roli wyłącznie obserwatora i kronikarza życia zbiorowego.

Zola rozumie dobrze, że Balzac musiał stać się bankrutem, by móc ukazać upadek Cezara Birotteau, że musiał on cały podziemny świat Paryża znać z własnego doświadczenia, aby móc odtworzyć postaci Goriota i Rastignaca.

Zola natomiast i w jeszcze większej mierze Flaubert właściwy twórca nowego realizmu, byli po prostu obserwatorami, krytycznymi komentatorami ich własnego życia społecznego (Odważna, publicystyczna walka w sprawie Dreyfusa przyszyła o wiele za późno i miała zbyt epizodyczny charakter w życiu Zoli, aby zmienić od podstaw jego metodę pisarską).

Naturalistyczna powieść „eksperymentalna” Zoli jest tedy jedynie próbą znalezienia takiej metody, za pomocą której pisarz zdegradowany do roli widza byłby w stanie uporać się z rzeczywistością i ukazać ją w sposób realistyczny. Oczywiście Zola nie był świadom tej społecznej degradacji, jego teorię i praktykę pisarską ukształtowały pod tym względem jego warunki społeczne niezależnie od świadomości. Przeciwnie nawet, w miarę tego jak uświadamiał sobie zmienioną sytuację, widział w niej, jako liberalny pozytywista korzyści, i chwalił (w rzeczywistości nie istniejącą) bezstronność Flauberta, jako nowy rys charakterystyczny postawy pisarza. Lafargue, który zgodnie z przesłankami Marksa i Engelsa ostro krytykuje metodę twórczą Zoli i przeciwstawia ją metodzie Balzaca, widzi wyraźnie, że Zola jest całkowicie odizolowany od społecznego życia swojej epoki. Lafargue określa stosunek Zoli do rzeczywistości jako stosunek reportera, co pozostaje w zgodzie z biograficznymi i programowymi wypowiedziami Zoli na temat właściwych metod pracy pisarza.

Zacytujmy tylko jedną z nich. W pewnym miejscu mówi Zola o tym, jak powinna powstawać koncepcja dobrej powieści: „Pisarz naturalista chce napisać powieść o życiu ludzkiego teatru. Takie jest jego założenie; nie orientuje się on na razie w datach ani postaciach. Pierwszą jego troską musi być zebranie danych na temat tego, czego mógłby dowiedzieć się o świecie, który zamierza opisać. Znał tego czy innego aktora, widział tę czy inną sztukę... Rozmawia on przeto z ludźmi, którzy w tych sprawach orientują się najlepiej, zbiera ich wyjaśnienia, anegdoty, portrety. Ale to jeszcze nie wszystko. Czyta on także dokumenty pisemne. Wreszcie udaje się na scenę, przebywa kilka dni w jednym z teatrów, aby zaznajomić się z najdrobniejszymi szczegółami, spędza wieczór w loży aktorki, przyswaja sobie jak może najlepiej atmosferę. Kiedy wszystkie te dokumenty są zgromadzone, powieść toczy się sama. Powieściopisarz musi tylko rzeczą zasadnicze logicznie uporządkować... Zainteresowanie nie koncentruje się już na osobliwości fabuły, przeciwnie, im jest ona banalnieszka i ogólniejsza, tym bardziej typowa”.

Oto mamy nowy realizm tj. naturalizm w skondensowanym skrócie, w ostrym przeciwstawieniu do tradycji dawnego realizmu; miejsce dialektycznej jedności typu i indywidualnego zastępuje mechaniczny przekrój, miejsce epickich sytuacji i epickiej fabuły — opisy i analizy. Znika napięcie dawnej fabuły, wzajemne stosunki ludzi z jednych z drugimi; nie są oni już więcej indywidualnościami i jednocześnie przedstawicielami istotnych tendencji klasowych; na ich miejsce występują charaktery przeciętne, których rysy indywidualne są artystycznie przypadkowe (tzn. nie są w sposób istotny powiązane z wydarzeniami); i te przeciętne charaktery działają w powieści równoległe do siebie i pomieszane ze sobą.

Zola był tylko dlatego wielkim pisarzem, że swego własnego programu nigdy całkowicie konsekwentnie nie mógł przeprowadzić.

Ale nie powinniśmy sądzić, że Zolę chodził jedynie o „zwycięstwo realizmu”, które Engels stwierdził u Balzaca. Analogia jest tylko formalna i byłaby dlatego fałszywa. Balzac zdemaskował odważnie sprzeczności powstającego społeczeństwa i jego obserwacja rzeczywistości stanęła w jawnym konflikcie z jego uprzedzeniami politycznymi. Jako uczciwy artysta pisał wyłącznie to co widział, przeżył, doświadczył, nie troszcząc się o to, czy wierne rzeczywistości odtworzenie tego, co zobaczył, odpowiada jego ideom. „Zwycięstwo realizmu” wynika z tej walki. Ale artystyczne osiągnięcia Balzaca stoją w sprzeczności z najgłębszym pojęciem, ujmującym społeczną rzeczywistość kształtem jego dzieła.

Zupełnie inna jest sytuacja Zoli. Między jego poglądami społecznymi i politycznymi a społeczno-krytycznymi tendencjami jego dzieł nie ma tej głębokiej przepaści co u Balzaca. Obserwacja faktów, uważne śledzenie przebiegu historycznego rozwoju radykalizującej wprawdzie stopniowo Zolę i czynią go coraz bliższym utopijnemu socjalizmowi, ale nie oznacza to pełnej wewnętrznych starć walki pomiędzy uprzedzeniami artysty a rzeczywistością.

Tym ostrzejsze jest przeciwieństwo w dziedzinie artystycznej. Sposób pisania Zoli, właściwy nie tylko jemu, ale i całej generacji,

gdź wyniki z roli samotniczego obserwatora, przekładają ujęciu dzieła w kształt prawdziwie realistyczny. „Naukowa” metoda Zoli każe szukać przekroju, a szara, statystyczna średnia, która neutralizuje wszystkie wewnętrzne sprzeczności, w której wielkie i małe, szlachetne i podłe, piękne i brzydkie staje się w jednym stopniu przeciętnym „produktem”, oznacza śmierć wielkiej literatury.

Zola był przez całe swoje życie zbyt naiwnym liberałem, zbyt łatwowiernym wyznawcą mieszczańskiego postępu, aby go mogły ogarnąć wątpliwości w stosunku do stojącej pod poważnym znakiem zapytania pozytywistycznej metody naukowej.

Ale artystyczne przeprowadzenie jego metody nie posuwało się naprzód bez walki. W samym Zoli jako pisarzu wyobrażenie o wielkości współczesnego życia (nawet jeśli była to wielkość nieludzka), tkwiło zbyt silnie, aby mógł on zadowolnić się, oddając ją w odcieniach monotonnej szarzyzny, co było nieuniknioną konsekwencją ścisłego przeprowadzenia jego metody. Zola za bardzo nie nawiądył i gardził wszystkim, co złe, podłe, reakcyjne, co wprowadza zamęt w społeczeństwo kapitalistyczne, aby móc pozostać zimnym, niezainteresowanym „eksperymentatorem”, jak tego wymagała doktryna pozytywistyczno-naturalistyczna.

Jak widzimy walka rozgrywa się u Zoli nie jako wewnątrz, dotyczy samej jego metody twórczej. U Balzaca walczy ze sobą rzeczywistość i uprzedzenie polityczne, u Zoli metoda i kształtowany „materiał”. Dlatego u Zoli chodzi nie o zasadniczy przełom, jaki stanowi zwycięstwo realizmu u Balzaca, ale tylko o pojedyncze momenty, szczegóły, przy których temperament pisarza zrywa łańcuchy pozytywistycznej „naukowości”, wyzbywa się naturalistycznej dogmatyki, by wyżyć się na gruncie prawdziwego realizmu.

Takie wyłomy można łatwo zauważyć w każdym utworze Zoli. Dlatego w każdej z wielką skalą przemysłowej jego powieści, znajdujemy pojedyncze zadziwiająco prawdziwe momenty. Ale nie mogą one przeniknąć całego dzieła, ponieważ w ogólnej koncepcji bierze mimo wszystko górę doktryna. W ten sposób wytwarza się dziwna sytuacja, że Zola w całym wielkim dziele swego życia nie stworzył ani jednej postaci ludzkiej, która zostałaby żywa i powszechna jako typ społec-

zny, jak u Flauberta małżeństwo Bovary, lub aptekarz Homais, nie mówiąc już o takich postaciach jak u Balzaca czy Dickensa.

Ale Zola usiłuje także i w kompozycji wyjść poza przeciętność naturalizmu. Mówi o tym sugestywność jego obrazów. Niewiele jest czytelników, którzy by się jej nie dopatrzili w wielkich zolowskich opisach kopalń, hal targowych, giełdy, rzeźni, teatru czy wyścigów. Mało który pisarz bardziej i sugestywniej od Zoli odtworzył ramy współczesnego życia.

Ale tylko zewnętrzne ramy.

U Zoli tworzą one gigantyczne tło, przed którym poruszają się tam i spowrotem maleńcy, przypadkowi ludzie, i przeżywają swe małe, przypadkowe losy. Tego, co osiągnęli prawdziwie wielcy realizmiści jak Balzac, Dickens, Tolstoj — przedstawienia instytucji społecznych jako rozstrzygających o istocie stosunków między ludźmi, przedstawienia obiektów społecznych, jako obiektów pośredniczących w tych stosunkach — Zola przeprowadzić nie mógł. W dziełach Zoli człowiek i otoczenie ostro są od siebie oddzielone.

Skoro tylko tedy porzucił na naturalistyczną monotonię — staje się dekoracyjnym malarzem romantyki, następcą retorycznego, monumentalizującego kierunku Victora Hugo.

W tym leży szczególny tragizm Zoli jako pisarza. Ten, który tak zapamiętale atakował rzekomą romantyczność Balzaca i Stendhala, musi uciekać się do pomocy romantyzmu Victora Hugo, aby się częściowo przynajmniej uchronić przed szkodliwymi artystycznie następstwami własnej metody twórczej.

Od czasu do czasu Zola odczuwał powstanie w ten sposób rozdźwięk. Romantyzm, kraśmowca i malarzka kunsztowność stylu, która przyniosła ze sobą zwycięstwo francuskiego naturalizmu, przekazywały Zoli w wiernym odtworzeniu prawdy i jako prawy człowiek i uczciwy pisarz czuł on, jak dalece był w tym współwinnym. „Jestem za bardzo synem mojej epoki, za głęboko tkwią w romantyzmie, by móc marzyć o uwolnieniu się od pewnych nalożonych retoryki... Mniej kunsztowności, więcej rzeczowości... byłbym rad, gdybyśmy mieli mniej blasku a więcej realnej treści”.

Ale artystycznego wyjścia z tego dylematu nie znalazł. Przeciwnie, im energiczniej udział brał w walce politycznej, tym bardziej retoryczny był jego sposób pisania.

Istnieją bowiem tylko dwie pisarskie drogi, które otwiera monotonia naturalistycznego poszukiwania przeciętności, ukazująca jedynie mechaniczne odbicie codzienności w świecie kapitalistycznym: albo pisarzowi udaje się odkryć społeczny i ludzki sens życiowej walki i ukazać go za pomocą środków artystycznych (jak to uczynił Balzac), albo głos jego, ukazując kulisy życia brzmi malowniczo i gromko, nie sięgając ludzkiego sedna ukazanych wydarzeń (metoda Victora Hugo).

Oto jest romantyczny dylemat, przed którym stanął francuski naturalizm. Zola, a przed nim Flaubert, wybrał drugą drogę, ponieważ znajdował się w uczciwej opozycji względem porewolucyjnej ideologii mieszczańskiej, ponieważ pogardzał i nienawidził współczesnej sobie gloryfikacji fałszywego ideału i fałszywych „wielkich ludzi”, ponieważ był zdecydowany wszystko to bezlitośnie zdemaskować. Ale sama choćby najuczciwsza gotowość do walki nie jest w stanie naprawić błędów zrodzonych z fałszywej postawy artystycznej i wynikłych z niej organicznych wad utworu.

Już stary Goethe widział owo odgałęzienie drogi, ów „romantyczny” dylemat powstającej, nowej literatury. W ostatnich latach swego życia czytał on niemal równocześnie „O ślaską skórę” Balzaca i „Notre Dame” Victora Hugo. O powieści Balzaca pisze w następujący sposób w swoim dzienniku: „Czytałem „Le peau de Chagrin” dalej... jest to wymięnięty utwór w najnowszym stylu, który wszelako tym się wyróżnia, że z żywością i poczuciem smaku obraca się pomiędzy niemożliwym i nieznośnym, umie bardzo konsekwentnie posługiwać się jako środkiem niezwykłością, najdziwniejszymi wyobrażeniami i przywidzeniami, o czym w szczególności dałoby się powiedzieć wiele dobrego”.

Jak z tego wynika, Goethe widzi jasno, że Balzac używa elementów romantycznych, groteski, fantastyczności, dziwacznych okropności, ironicznej lub patetycznej przesady tylko do tego, by za ich pomocą odtworzyć istotne zależności społeczne i ludzkie. Wszyst-

ko to jest dla Balzaca tylko środkiem i określoną drogą stworzenia prawdziwego realizmu, który by zachował artystyczną wielkość i ludzką doniosłość dawnej, wielkiej sztuki, wchłaniając przy tym jednocześnie nowe życiowe treści. W zupełnej sprzeczności z powyższym pozostaje sąd Goethego o Victorze Hugo. Pisze on do Zolera: „Notre Dame de Paris” Victora Hugo odtwarza przy pomocy pracowitych, dobrze wypróbowanych środków dawne miejscowe osobliwości, obyczaje i wydarzenia; ale w działających postaciach nie ma nawet śladu życia i naturalności. Są to pozbawione iskry życia manekiny mężczyzn i kobiet, uformowane według należytých proporcji, ale poza tym przypominające wypchane lalki o szkieletach z drzewa lub żelaza, z którymi autor obchodzi się jak najniechętniej, nadaje im wciąż nowe, niewymyślniejsze pozycje, torturuje je i chłocznie, znieca się nad nimi duchowo i fizycznie, szarpie bez litości niemal na miarę i rozrywa na strzępy; wszystko to jednak ukazane ze zdecydowanym historyczno-retorycznym talentem, któremu nie sposób odmówić żywej siły wyobraźni, bez której tego rodzaju ohydy nie byłoby się w stanie wydobyć...”

Nie można oczywiście Zoli zestawiać z Victorem Hugo. Hugo czynił naprawdę pewne kroki w kierunku realizmu. Charakterystyka postaci ludzkich w „Nedznikach” i „Roku 1793” stoi bez wątpliwości wyżej niż w „Notre Dame”, chociaż Flaubert złośliwie zauważył, że malowanie społeczeństwa i ludzkich charakterów w ten sposób i w tym samym czasie, w którym tworzył już swoje dzieła Balzac, — traciło już nieco myślną.

Ale głównemu złu: zupełnie niezależnemu od ludzi przedstawieniu społecznego tła i tematu, co z takiego przedstawienia wynikało — marionetkowości swoich postaci — Hugo nie mógł zaradzić. Sąd starego Goethego z pewnymi złagodzeniami, da się odnieść do całej produkcji powieściowej tego pisarza. I Zola, który te tradycje przejmując, przemija równocześnie niemożność głębokiego i porywającego kreowania postaci ludzkich.

1940

Georg Lukacs

tium, Ryszard Matuszewski

LEON GOMOLICKI

MICKIEWICZ W MOSKWIE *)

1.

MICKIEWICZ podczas pobytu swego w Moskwie nie zawierał nowych znajomości, zadawał się z ciasnym gronem przyjaciół. Był zajęty pracą. Przygotowywał przypisy do Sonetów, studiował Hammera. Miał na warsztacie rozpoczętą w Odessie „powieść litewską”. Ale wciąż jeszcze nie mógł wrócić do wewnętrznej równowagi, koniecznej by tworzyć. Często urozmaicał zajęcia partią szachów lub gawędą. Brakowało mu książek. Więc w ich poszukiwaniu udawał się na wywiad do księgarzy moskiewskich lub na „tokućny rynek”, jak nazywano bazy starych.

Szerokie, pełne zieleni bulwary moskiewskie, gdzie nieprzerwanym łańcuchem ciągnęły w pogodny popołudnia karety i dorożki, chętnie zmieniał na zatłoczone podwórka, zabudowane straganami, pełne nawoływających sprzedających i gwizdu dziecięcych świstawek. Ocierając się w tłumie o mieszczan w chałatach i okragłych czapkach z daszkami, o mnichów w wysokich czarnych kłobukach, o kucharki z koszykami, omijając kaleki-żebraków, pochylał się nad podartym dywanem straganiarza, gdzie obok wypłowiałych trójrogów i klatek z gołębiami i królikami leżały rozsypane książki. Antykwarjaty moskiewskie były czymś pośrednim pomiędzy sklepem dewocjonalistów a księgarnią. Książki sprzedawano tu razem z polamanymi antykami i obrazami świętych, zdobnymi w złote i srebrne szaty. Tu można było znaleźć łacińskie, greckie, starosłowiańskie i nawet polskie edycje zeszłego stulecia, luźne tomy czasopism, tłoczone złotem oprawy foliantów i popularne tłumaczenia klasyków zachodnio-europejskich ze znakiem sławnego wydawcy z czasów Katarzyny, Nowikowa. Napoleońskie „N” jego monogramu, otoczone kwitnącą gałęzią z symbolami liry, kaduceusza i łuku zdobyło ich strony tytułowe, jako gwarancja powagi i solidności.

Nowikow był jednym z pierwszych pionierów oświaty w Rosji — satyryk, publicysta i księgarz, wydawca kilku czasopism satyrycznych, popularyzator nauki i literatury. W 1784 roku zorganizował pierwsze akcyjne towarzystwo wydawnicze, powiększając nakłady do dwóch tysięcy egzemplarzy. Po rewolucji francuskiej podejrzliwa

cesarzowa przerwała rozwój słowa drukowanego. Po wprowadzeniu surowych rygorów cenzury Nowikow został aresztowany, a wiele jego wydawnictw spalono, samego zaś wydawcę oskarżono o jakobinizm i skazano na karę śmierci, którą w drodze łaski caryca zamieniła na 15 lat twierdzy.

Tajemnica powodzenia działalności wydawniczej Nowikowa polegała na nastawieniu na czytelnika z szerokich mas: rzemieślników i kupców. Nastawienie to Nowikow odziedziczył po polityce gospodarczej Piotra I, który opierał się na młodym handlu i przemysle rosyjskim. Opowiadano, że nowy car Mikołaj poróżniony z klasą szlachecką przez wystąpienie dekabrystów i niezadowolony z patriarchalno-feodalnych form gospodarstwa rosyjskiego, również skierował się w stronę kupców i przemysłowców. W czasopiśmie i dziennikach za inspiracją sfer rządowych utworzono specjalne działy podające wiadomości o gospodarce rosyjskiej i ogólnoeuropejskiej. W Moskwie zaś powstało czasopismo „Moskiewski Telegraf”, poświęcające najwięcej miejsca tym zagadnieniom. Było ono pierwszym na rynku księgarskim wyrażeniem do wodu narodzenia się w Rosji nowego czytelnika burżuazyjnego.

Obok tych wydawnictw o szerokim zasięgu, leżały jeszcze na ladzie liczne almanachy, wydawane przez różne koterie literackie, nieraz obliczone na ciasne koło przyjaciół i znajomych, których polemika była obca i niezrozumiała dla niewtajemniczonych. Z lekkiej ręki Rylejewa w swoim czasie nastąpiła powódź takich wydawnictw koteryjnych. Kwitły one obecnie zwłaszcza tu w Moskwie, gdzie represje pogrudniowe prawie nie dotknęły kół literackich. Do wydawców amatorów dołączyli się różni afezryści literacy, jak demokraczy objający progę beztrojskich literatów szlachciców, którzy pieniądze wyciśnięte ze wsi pańszczyźnianych trwonili na hulanki. W Petersburgu periodyka rosyjską zawiadnął Polak Bulharyn, który z orientalistą Sekowskim, „raznoczyniem” Greczem i kupcem Polewojem okupował całkowicie ówczesne dziennikarstwo rosyjskie. Pierwsi ci reprezentanci środowisk obcych w stosunku do przodującej w literaturze warstwy drobnej szlachty rosyjskiej byli bardziej obrotliwi i łatwiej potrafili opanować rynek księgarski. Akcję wydawniczą mieli również w swoich rękach kupcy księgarze. Rozpraszało to siły literackie, które właściwie nie miały własnego organu o wyraźnym obliczu ideowym.

Nieraz ze stosu książek zwalonych w nieładzie w kącie księgarni Mickiewicz wylał tomiki „Polarnej Gwiazdy” Rylejewa. Przerzucał strony natrafiając na fragmenty „Wojnarowskiego”, przypominające mu czasy odeskie. Ten almanach był właśnie takim wydaniem bojowym myśli rewolucyjnej, i nie należało się dziwić jego niezwykłej poczytności. Również można było przypadkiem znaleźć zeszyty Zukowskiego, zatytułowane po niemiecku „Für wenige”, wydawane w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy, rozsyłanych przez autora jako grzecznościowe upominki, a właściwie przeznaczonych dla jednej osoby: pruskiej księżniczki Charlotty, którą Zukowski uczył rosyjskiego w czasie, kiedy przygotowywała się do roli cesarzowej Rosji.

Redaktorami „Moskiewskiego Telegrafu” byli dwaj bracia Polewojowie. Usiłowali oni stworzyć ze swego pisma organ, odzwierciedlający wszechstronnie zjawiska życia społeczno-literackiego. O pobytku w Moskwie Mickiewicza wiedzieli od pułkownika Pochwińskiego i dokuczali mu prośbami, aby poznał ich z poetą. W tym celu Pochwiński zaprosił na jeden ze swych przyjacielskich wieczorów redaktorów „Moskiewskiego Telegrafu” i Mickiewicza z Malewskim. Kiedy spóźnieni przyjaciele weszli do mieszkania Pochwińskiego, Polewojowie czekali już na nich przypatrując się partii wista, zorganizowanej przez gospodarza. Pochwiński zerwał się od stolika, trzymając w ręku karty, zamienił kilka słów z Mickiewiczem i przedstawił go redaktorom. Ale sztucznie zorganizowana rozmowa nie kleiła się. Mickiewicz słabo umiał po rosyjsku, Polewojowie zaś, którzy byli synami kupca, niedostatecznie dawali sobie radę z francuszczyzną. W dodatku Mickiewicz oderwany od pracy był nie w humorze. „Był pośpny — wspominał później młodszy z braci, Ksenofont Polewoj — mówił mało, jakby z przymusu; daleko przyjemniejsze na nas wrażenie zrobił jego towarzyszy. Wróciliśmy w tego wieczora prawie do poziewania tylko usposobieni”.

Od tego wieczoru upłynęło kilka miesięcy. Mickiewicz z Malewskim zmienili mieszkanie. Ukazało się pierwsze wydanie wierszy Aleksandra Puszkina. Kancelaria moskiewskiego generała-gubernatora, do której nominalnie był przydzielony Mickiewicz, zażądała przedstawienia dyplomu szlachectwa. Mickiewicz korespondował z Odyńcem, informując go o swoich zajęciach poetyckich i grze w szachy. Zmarł

pierwszy rosyjski sentymentalista i historyograf Mikołaj Karamzin. Mickiewicz wpisał wiersz do sztambucha Appolina Salkowskiego. Stracono pięciu dekabrystów, w tej liczbie Pestela i Konrada Rylejewa. Przygotowywano uroczystości koronacyjne. Do Moskwy zjechał się magnaci polscy: senator Potocki, książę Sapieha, Branicka. Mickiewicz pisał do Odyńca: „Ale tu byś się znudził; oprócz naszej kompanii prawie nie mamy znajomych. Chyba widzieć chciałbyś ogromną i piękną stolicę”. Do Moskwy przyjechał młody oficer sztabu generalnego Poznański, entuzjasta, romanzyk i wielbiciel Mickiewicza. Dostarczył on redakcji „Telegrafu” kilku słabych przekładów, z których Polewoj wybrał przekład „Kurhancka Maryli” i umieścił go w dziwiącym ze swego czasu pisma. Było to pierwsze tłumaczenie Mickiewicza w prasie rosyjskiej. Z tej okazji Mikołaj Polewoj odwiedził i zaprosił do siebie poetę. Odtąd zawiązała się między nimi przyjaźń. Mickiewicz zaczął bywać w domu Polewoja, gdzie wkrótce zjawiają się: Wiazemski i Puszkina, sprowadzony przez cara do Moskwy z zesłania, które odbywał we wsi Michajłowskoje. Tam oddalony od życia literackiego, pilnie śledził prasę stołeczną, marząc o własnym czasopiśmie. Zdaje się, że był to jedyny wśród literatów, ze środowiska szlacheckiego, który rozumiał prawdziwy sens przemian zachodzących w społeczeństwie i literaturze. Puszkina pierwszy potraktował zajęcie literackie jako zawód, a nie rozrywkę zabezpieczonego materialnie dziedzica, pierwszy zrozumiał konieczność zorganizowania własnego czasopisma dla popularyzacji idei romantyzmu w szerszych masach czytelników. „Telegraf” zbliżony do tego ideału uważał za profanację idei, mimo, że pismo to skupiało najlepsze siły literackie. Almanachy zwał za zjawiska ciasnych kółek i salonów literackich. Pisał do Wiazemskiego po powrocie z przejażdżki konnej po wiosennych łąkach: „Czy nie ściągnął ci czegoś mój sługa, którego wydalłem za ordynarność i niewłaściwe zachowanie się? Czas najwyższy abyśmy wydalili również i Bulharyna, Blagonamierennego (czasopismo wydawane przez Izmajłowa) i przyjaciela naszego Polewoja. Teraz nie czas na to, ale słowo honoru kiedyś wezmę się do czasopisma. Szkoda, że z Katiennem nie jesteś w zgodzie, bo jest on jakby stworzony dla pisma”.

Myśl stworzenia własnego pisma celem zorganizowania opinii literackiej nie przestaje niepokoić Puszkina. Wciąż powraca do

*) Fragment z książki o pobycie Mickiewicza w Rosji.

niej w swojej korespondencji, na którą ma dosyć czasu na wiejskim odludziu. Kiedy Katiennin zaproponował mu udział w projektowanym nowym almanachu, Puszkina odpisuje: „Przyszły almanach cieszy mnie nie słychanie, niech tylko obudzi cię dla poezji. Dusza się prosi usłyszeć twoje wiersze; ale wiesz co? Zamiast almanachu czy nie powinniśmy zacząć wydawać czasopismo w rodzaju „Edinburgh Review“? Głos prawdziwej krytyki jest u nas niezbędny, a komu jeżeli nie tobie przypada opanować opinię publiczną i dać naszemu piśmiennictwu prawdziwy kierunek? Na razie prócz ciebie nie mamy innego krytyka...”

Ani w notatkach, ani w korespondencji Puszkina nie znajdujemy ścisłych wskazań dotyczących programu pisma. Jedynie nazwisko Katiennina, którego z początku wysuwał na miejsce redaktora i głównego krytyka, może coś powiedzieć w tej materii. Ale nazwisko Katiennina w tych czasach już było programem.

O Katienninie Mickiewicz słyszał jeszcze w Petersburgu i na południu w Odessie. Był on jak i Puszkina poetą-zesłańcem, co nadawało mu bajroniczną postawę i sprzyjało jego popularności. Powodem zesłania Katiennina była jakaś błaża historia z wygwizdaniem w teatrze artystki Azarewiczowej, protegowanej słynnej Siemienowej. Zakulisowa strona tej intrzygi polegała na tym, że Siemienowa nienawidząca Katiennina była kochanką, a potem żoną księcia Gagarina, krewnego Wiazemskiego. Wiazemski zaś należał do wrogiemu Katienninowi ugrupowania literackiego, był przyjacielem Żukowskiego i nie lubił poety za jego pamphlet dramatyczny „Student”, sztychający z dworskiego „balladziarza”. Wszystkie te okoliczności spowodowały, że skarga Siemienowej została rozdmuchana i doszła do wiadomości Aleksandra; przy tej okazji Katienninowi przypomniano i inne jego grzechy: że należał do tajnego towarzystwa wojskowego, pierwowzoru Północnego Związku dekabrystów i że przełożył rewolucyjną piosnkę francuską „Veillons au salut de l'Empire”, w której śpiewało się m. in. „wolimy śmierć niż niewolę — oto przysięga każdego z nas” (piosenka ta stała się później pieśnią dekabrystów). Wszystko to złożyło się na decyzję cara, który podpisał rozkaz skierowany do Katiennina o areszt domowy w jego majątku. Niemniej nie przestał on pisać i drukować, robiąc szum dookoła swego nazwiska. Mickiewicz czytał w „Więstniku Europy” artykuł o Katienninie, przetłumaczony z „Mercur de XIX siècle”. Gagarin pragnął zniszczyć swego wroga wystąpił w druku z insynuacją, oskarżając Katiennina o pisanie o samym sobie pochlebnych artykułów. W obronie poety stanęli jego przyjaciele. W krytyce porównywano Katiennina z Goethem i Schilerem, uznawano za jedynego prawdziwego reprezentanta romantyzmu rosyjskiego. Kimże był ten zagadkowy poeta?

Reprezentując przejściowy okres pomiędzy klasycyzmem feudalnym a realizmem, Katiennin przyniósł do literatury romantyzm rosyjski, nie zrywając z tradycją monumentalnej poezji klasycznej. Jednocześnie zwalczał powierzchowne naśladowanie romantyzmu niemieckiego. Wskazywał na wojowniczą poetykę programową, przeciwstawiając Żukowskiemu balladę realistyczno-narodową. Bez Katiennina byłby niemożliwy obywatelski patos liryki rewolucyjnej Rylejewa, jak również realistyczne i narodowe tendencje twórczości Puszkina. Pod wpływem myśli Katiennina, rozrzuconych w jego luźnych wypowiedziach, a zwłaszcza w namyślonych dysputach, ukształtował autor „Godunowa” konkretne pojęcia estetyczne.

Jeszcze w młodości, kiedy dopiero poznawał życie wesołej cyganerii stołecznej, Puszkina najbliższymi związanymi z kołem Żukowskiego, zjawili się pewnego dnia u Katiennina. Było to w roku 1818. Do poety o twarze podobnej — jak zauważył Kuechelbecker — do portretu Aleksandra Pogoego, zgłosił się smagły młodzieniec i podając mu listkę powiedział: „Przychodzę do ciebie jak Diogenes do Antystenesa: „Zbrzy, ale naucz”. Stali naprzeciw siebie uderzając podobni jak sobowtóry. Było to ich pierwsze spotkanie, początek wieloletniej przyjaźni. Katiennin zaprowadził Puszkina na „strych” Szachowskoja, gdzie spędził na długiej rozmowie cały wieczór. O tym wieczorze wspominał później Puszkina jako o jednym z najciekawszych w swoim życiu. Obecnie planując wydanie własnego pisma przypomniał Katiennina, jako wyrażiciela oryginalnej poetyki romantycznej.

2.

Po przyjeździe do Moskwy w połowie września 1826 roku Puszkina przystąpił do realizowania swoich planów. Ale sześć lat zesłania oderwały go od życia literackiego. Prawie tak samo jak Mickiewicz niewielu miał przyjaciół wśród literatów moskiewskich. Większość dawnych współwyznawców romantyzmu poszła na zesłanie, inni

stali się urzędnikami na wyższych stanowiskach państwowych.

Jak już wiemy, do Moskwy przywieziono Puszkina pod eskortą i natychmiast, nie dając mu czasu na odpoczynek po forsownej jeździe wprowadzono do gabinetu Mikołaja. Głównym powodem była sprawa wykrytego wiersza Puszkina „André Chénier”, do którego ktoś dopisał tytuł „14-go grudnia”. Mikołaj osobiście zajmował się śledztwem w sprawie dekabrystów i zarządził przywiezienie poety do Moskwy, dokąd wówczas przybył na uroczystości koronacyjne. Po dwugodzinnej prawie rozmowie z Puszkinem drzwi carskiego gabinetu uchylły się. Puszkina wyszedł wzruszony ze łzami w oczach. Za nim ukazała się postać koronowanego oskarżyciela, który wskazując obecnym poetę powiedział głośno: „Teraz on należy do mnie!”

Tegoż dnia ambasador francuski, marszałek Marmont urządził bal z udziałem dworu i korpusu dyplomatycznego. Na tym balu Mikołaj przywołał do siebie Błudowa, który wówczas został mianowany członkiem komisji śledczej w sprawie dekabrystów, i powiedział mu: „Wiesz, dziś przez dłuższy czas rozmawiałem z najrozsądniejszym człowiekiem Rosji”. Na pytające spojrzenie byłego arzasamowca car wymienił nazwisko Puszkina. Rozmowa ta została podchwyciona przez damy, od których o przyjeździe Puszkina przywróconego do łaski carskiej dowiedział się jego dawny przyjaciel Sergiusz Sobolewski. Aby spotkać się z poetą jak najprędzej, udał się tak, jak był, w stroju galowym — do domu stryja Puszkina, spodziewając się zastać tam przyjaciela. Istotnie Puszkina w pałacu przyjechał do swego krewnego. Jeszcze nie przebrawszy się z podróży, w przemoczonych butach jadł kolację. Uściskawszy Sobolewskiego, Puszkina bez żadnych komentarzy obarczył go misją swego sekundanta i kazał nazajutrz rano udać się do hrabiego Teodora Tolstoję o przezwisku „Amerykanin”, aby wyzwąć go na pojedynek. Tolstoj ten — oficer, podróżnik, zawiadacz i literat był zaciekle wrogiem poety. Po zesłaniu Puszkina rozpowszechnił plotkę, że poeta został wychłostany różgami w tajnej policji. Zapłacił mu za jego paszkwile i insynuacje było pierwszym odruchem poety. Drugim odruchem Puszkina było odszukanie Wiazemskiego, który — jak się dowiedział od stryja — podobno wrócił do Moskwy na czas koronacji. W domu Wiazemskiego powiedziano, że książę istotnie jest, ale pojechał do łaźni. Puszkina nie czekając na jego powrót zjawiał się w łaźni, gdzie odbyła się pierwsza po długiej rozłące rozmowa przyjaciół.

Wiazemskiego spotkał los podobny do Puszkina. Od roku 1821 przebywał w nieładzie pod tajnym nadzorem policji za stosunki z polską opozycją, nawiązane w czasie służby w Warszawie. M. in. przyjaźnił się on z Niemcewiczem i w roku 1827 ułatwił Mickiewiczowi zawarcie z nim listownej znajomości. Jako poeta Wiazemski był związany z grupą romantyków archaistów, uprawiał osiemnastowieczne rodzaje — bajkę dydaktyczną, satyrę epistolarną, elegię i ody. Aristokrata z pochodzenia i poglądów był jednocześnie zwolennikiem konstytucjonalisty burżuazyjnego Beniamina Constanta, którego „Adolfa” przetłumaczył dedykując Puszkiniowi. W dowcipach swoich naśladował Woltera i był jednym z najbardziej utalentowanych essayistów tych czasów. Pozycja szlachecko-feodała współczującego ideałom nowopowstającej sily burżuazji łączyła Wiazemskiego jednocześnie z polskimi patriotami i dekabrystami. Nieujawiane zesłanie uniemożliwiło mu, jak również Puszkiniowi udział w powstaniu grudniowym i uratowało od represyj. Rok 1826 był dla Wiazemskiego najcięższym w jego życiu okresem. Carska nielaska i obowiązki wobec licznej rodziny rujnowały go finansowo. Ratując sytuację Wiazemski zmuszony był sprzedać majątek w gubernii Tverskiej wraz z przedsiębiorstwem fabrycznym. Pozostał mu dworek w pobliżu Moskwy, to samo Ostafiewo, gdzie później nieraz gościł Mickiewicz i nazwę którego umieścił pod wierszem „Z Petrarci”. Po stracie majątku Wiazemski przechodził ciężką chorobę, pochował dwóch synów i kilku przyjaciół. W maju zmarł Karamzin ożeniony z siostrą Wiazemskiego, w lipcu rozeszła się wiadomość o powieszeniu pięciu dekabrystów. Wiazemski mieszkał w Rewlu z rodziną Karamzinów i nie spieszył się do Moskwy na koronację i oprawy dekabrystów. Ale życie miało swoje prawa. Mikołaj nie żartował. Należało pomyśleć o uzyskaniu przebaczenia młodemu cesarza i wystarać się o jakąkolwiek posadę. Właściwie od chwili powrotu Wiazemskiego do Moskwy tej jesieni, wpływającej pod znakiem śledztwa w sprawie dekabrystów i ludowych zabaw na placach dawnej stolicy Rosji, świętując uroczyste wstąpienie na tron nowego monarchy, kończy się dawny Wiazemski ciętego epigramatu i odważnego pamphletu i powoli ro-

dzi się nowy — biurokrata, dygnitarz, konserwatysta i reakcjonista.

Po podróży książę udał się do łaźni. Gdy Puszkina zapukał do niego Wiazemski stał dekoracyjnie udrapowany w prześcieradło na wzór rzymskich senatorów i wycierał pierś i mokre bokobrody. Bez okularów przyglądał się Puszkiniowi i nie poznawał go. W „Arzamasie” Puszkina odznaczający się małym wzrostem, młodym wiekiem i dźwięcznością śpiewu nosił przezwisko „Świerszczyka”. Wiazemskiego natomiast przeważała Asmodeuszem. Zakłócał on wówczas swoją satyrą spokój na Parnasie klasycznym i w wielkim majątku Aleksandra, jak car nazywał Rośję. Ale od tej pory dużo się zmieniło i w losach państwa i w życiu poetów. Puszkina dopiero co zawarł przyzmiere z dworem. Wiazemski wołał więc nie narażać się, ponieważ nie znalazł wielkiej satysfakcji w salonowych sukcesach twórcy epigramów. Wymieniwszy najnowsze wiadomości, poeci przeszli do tematu miesięcznika. Póki Wiazemski odpoczywał na kanapie, Puszkina chodził gestykulując i rozwijając plan wydawnictwa. Tak samo jak Katiennin był on w takich chwilach podobny do „mbryka na ogniu”, podług określenia Wigiela.

Wiazemski nigdy nie traktował poważnie swoich zajęć literackich. Lekki stosunek do ówczesnych wierszów i prozie odziedziczył po arystokracji literackiej XVIII wieku. Ale od niedawna zaczął drukować swoje recenzje i essaye u Polewoja, co przynosiło mu nawet pewien dochód. Szkice Wiazemskiego miały wzięcie u czytelnika-mieszczanina i Puszkina jeszcze nie doceniał w owej chwili korzyści, jaką mogła przynieść współpraca byłego Asmodeusza z projektowanym piśmie. Nie mniej gorąco namawiał do porzucenia „Telegrafu” i połączenia się z nim, do stworzenia redakcji nowego pisma. Miesiąc później wyjechałszy chwilowo na wieś pisał stamtąd do Wiazemskiego, przedłużając rozmowę:

„Co do tego czasopisma — nic nie wspominałem ci o twoim zdecydowanym połączeniu się z Polewojem, a słowo honoru — było mi smutno. Więc nigdy przystąpił literaci nie u nas wspólnie nie wyprodukują! Zawsze pojedynczo. Chodzi o to, że musimy zawiadnąć jednym czasopiśmie i panować w nim samowładnie i jedyńcownie. Jesteśmy za leniwi, aby przekładać, notować, ogłaszać etc., etc. Jest to prosta robota redakcyjna: na to istnieje wydawca; ale i on 1) powinien znać gramatykę rosyjską, 2) pisać z sensem, tj. goździ rzeczownik z przymiotnikiem i łączyć je należycie z czasownikiem. — A tego właśnie Polewoj nie umie. Na miłość Chrystusa przeczytaj pierwszy ustęp jego wzmianki o śmierci Rumjancewa i Rostopczyna i zgódź się z mną, że nie sposób powierzyć mu wydania pisma, poświęconego naszym nazwiskami...”

Wszystko to, jak zobaczymy, mało przekonywało Wiazemskiego. Nie mając wielkiego zaufania do zmysłu organizacyjnego swego przyjaciela, skontaktował on Puszkina z kołem „młodzieńców archiwalnych”, wśród których wyróżniał się młody poeta i teoretyk Wieniewitinow. Był on zresztą dalekim krewnym Puszkina. Puszkina dwukrotnie czytał w mieszkaniu Wieniewitinowa „Godunowa”. Na jednym z tych wieczorów, jeszcze podniecony czytaniem, Puszkina zaczął mówić o zaniechaniu wydawania almanachów i o założeniu nareszcie własnego czasopisma.

— Ale kogo wziąć za redaktorów? — pytał. — Mnie i Wiazemskiego uważają za lotrów.

Wieniewitinow zaproponował Pogodina. Ruchliwy Puszkina zerwał się z miejsca i chciał jechać do niego natychmiast. Zaskoczony Wieniewitinow zaczął odradzać, tłumacząc, że może nie zastać go w domu.

Po miesiącu odbyły się „chrzciny” nowego dwutygodnika poświęconego literaturze i myśli filozoficznej, „Moskiewskiego Więstnika”. Na chrzcinach tych był obecny Mickiewicz.

3.

Po czterdziestu latach Michał Pogodina pisząc pamiętnik korzystał ze swego dziennika. Pod datą 29 października 1826 roku znalazł w nim następującą notatkę: „Wspólny obiad — przyjemnie było pa-trzeć na nich wszystkich razem. Niezgrabnie przedstawiłem się Baratynskiemu. Obiad był wspaniały, żał tylko, że rozmowa nie była ogólna. Z przyjemnością obecni pili zdrowie Mickiewicza, potem Puszkina. Podpito. Przedstawienie Obolenskiego przed Puszkinem”.

W pamiętniku otwarzając okoliczności powstania „Moskiewskiego Więstnika” Pogodina napisał:

„Narodziny czasopisma postanowiono uczcić wspólnym obiadem wszystkich współpracowników. Zebrał się w dawnym domu Chomiakowa (gdzie obecnie

znajduje się cukiernia Lucke): Puszkina, Mickiewicza, Baratynskiego, dwaj bracia Chomiakowowie, dwaj bracia Kirijewscy, Szewyriow, Titow, Malcew, Rożalin, Raicz, Richter, Obolenski, Sobolewski. Nie trzeba opowiadać jaka wesołość panowała przy tym obiedzie! Ile było gwaru, śmiechu, ile opowiedziano anegdot, ułożono planów, zrobiono przypuszczenia! Obolenski, adiunkt literatury greckiej, najmilsza w świecie istota podpisywał przy stole, przybiegł po obiedzie do Puszkina i ulubionym swoim zwyczajem potargawszy swój czub, zawołał: „Aleksandrze Siergiejewiczu, Aleksandrze Siergiejewiczu, jestem jedynką, a wystarczy popatrzeć na ciebie jak wydam się sobie milionem. Oto kim jesteś!” — Wszyscy zaczęli się śmiać, krzyjąc: „Milion, milion!”

Z ludzi obecnych na tym uroczystym otwarciu „Więstnika” nie wszyscy potem wzięli w nim bezpośredni udział. Przeważała i zadecydowała grupa lubomudrów, która stworzyła z pisma organ filozofii i estetyki schellingowskiej. Szewyriow i Pogodina nadali mu szczególny kierunek historyzoficzny. — Puszkina lubomudrzy uznawali jedynie ze względów taktycznych, korzystając z jego zresztą już zmniejszającej się w tym okresie popularności. Wkrótce między nimi a Puszkinem zaznaczył się rozdźwięk. Puszkina rozumiał, że nadzieje jego nie spełniły się. Zwarta grupa „Więstnika” wciąż jeszcze miała cechy elitarne i nie mogła liczyć na masowego czytelnika. Próbował usmierzyc metafizyczne zapędy schellingowców, ale „pop swoje, a czart swoje”, schellingowcy uważali poetę za zastępcę Żukowskiego — „prasowacza” poezji, kawalera orderu żelazka. Faktycznie w masach panował po dawnemu Polewoj; jadłowite strzały „Więstnika” nie szkodziły mu wcale. Po trzech latach istnienia „Więstnik” zwinęto z powodu braku prawników. A jednak był on pierwszą próbą koncentracji sił ideologicznych i pozostawił po sobie głęboki ślad w dziejach rosyjskiej myśli krytycznej.

Pogodina, syn chłopca pańszczyźnianego był jednym z pierwszych przedstawicieli pozaklasowej inteligencji rosyjskiej, która w połowie stulecia przedstawiała potęgę intelektualną, ostoję postępu i głosicielkę zasad realizmu. Wkrótce Pogodina wystąpił z pierwszymi powieściami obyczajowymi z życia chłopów, kupców, mieszczaństwa i szlachty obszarniczej. Z wykształcenia był historykiem. Pogodina nie miał obycia w życiu towarzyskim. Biesiada nie imponowała mu. Stronił od nowych ludzi i nie umiał z nimi prowadzić rozmowy. Ale po pewnym czasie łatwo nawiązywał przyjaźń i wówczas wykazywał swoje zdolności interesującego rozmówcy. Do Mickiewicza zbliżył się w roku 1827, kiedy często wdywał się z poetą, prowadząc z nim rozmowy o dziejach Polski. W rozmowach tych szukał potwierdzenia własnych koncepcji teoretycznych o narodach słowiańskich. „Rozmawiali też oni o francuskiej polityce i o państwach europejskich — pisze Barsukow. — Raz nawet Mickiewicz przy pożegnaniu uściśnął i ucałował Pogodina”.

Wówczas najbardziej palącą kwestią międzynarodową była sprawa powstania greckiego. Nowa polityka kapitalistyczna Anglii zadawała ostateczne ciosy świętemu przymierzu. Uznając powstańców greckich za stronę wojującą Canning wbił klin między Petersburgiem i Wiedniem. Wellington podpisał protokół petersburski, tworząc koalicję trzech mocarstw przeciwko Turcji. Mocarstwami tymi były Anglia, Rosja i Francja, która na nowo występowała jako równouprawniony partner na arenie dziejowej. Polityka Metternicha została zniewiezona. Sprawa ciemiężonych Greków, za którą walczył Byron i po stronie której stało wielu opozycjonistów rosyjskich, stawała się nie tylko legalną, lecz świętą. Ironia losu sprawiła, że w jej obronie wystąpiła Rosja — ówczesny „żandarm Europy”. Ale w zakulisowej polityce otwierało to nowe możliwości na Bliskim Wschodzie. Do Rosji w marzeniach Mikołaja zbliżyły się ciemni konstantynopolskie, odnawiała się sprawa Carogrodu, który Pogodina uważał za ognisko narodowej kultury rosyjskiej. Był on jednym z pierwszych historyzofów rosyjskich. Dotychczas na tym polu działał jedynie Karamzin, autor „Historii Państwa Rosyjskiego” — apoteozy feudalizmu. Ułożono o nim epigram „w jego historii wytworność i prostota udowodniają nam bez żadnej stroniczości niezbędność samowładztwa i przyjemność knuta”. Już Polewoj odczuł nieaktualność historiografii Karamzina i wystąpił z jej krytyką, żądając przewodniej myśli i syntezy. Nawet sam wydał obszerną „Historię Narodu Rosyjskiego”, której tytuł był pomysłany w zapale polemiki z Karamzinem. Z braku przygotowania i dyscypliny naukowej nie sprostał ogromnemu zażądaniu. Pogodina pierwszy połączył w sobie cechy nau-

łowca i syntetyka romantycznego. Luźne wypowiedzi swoich poprzedników, wśród których byli Katienin i Kuechelbecker, powiązał z teorią Herdera i Schellinga. Z taką pochodnią romantyczną udał się w niezbadane czasy historii prasłowiańskiej i Rusi z czasów poprzedzających samowładztwo. Były to pierwsze przesłanki słowianofilstwa. Mickiewiczowi przypominał Pogodin wypowiedzi Lelewela o starożytności rosyjskiej. Poeta przysłuchiwał się koncepcjom prasłowiańskich komun rolnych i wiecowego układu nagrodzkiego, zniszczonego przez cara i pańszczyznę. W rozprawach prowadzonych w gronie redakcji „Więsnika”, gdzie mówiono o wzniołej misji Słowian i słowiańskim ideale chrześcijaństwa i demokracji, klarowały się idee, których oddźwięk usłyszymy później w okresie wykładów paryskich i „Trybuny Ludów”. W biesiadach i improwizacjach Mickiewicz wyrażał ogólnoludzkie humanitarne poglądy, łącząc tradycje wieku Oświecenia z herderowskim ideałem Słowianina.

Często
Mówił o przyszłych czasach, gdy narody
Zapomną waśni — i w rodzinę wielką
Połączą się. Słuchaliśmy poety
Z zapartym tchem...

(tłum. J. Tuwim)

wspominał po siedmiu latach Puszkina.

„Pamiętasz to prawdziwe przemienienie twarzy — pisał o Mickiewcu Odyniec — ten blask oczu, ten głos przenikający, że cię aż strach ogarnia, jakby duch przez niego przemawiał! Wiersz, rym, forma, nic tu nie znaczą. Mówiącym z natchnienia ducha, dany był dar wszystkich języków, a raczej ten tajemniczy język, który każdy człowiek rozumie. Przy jednej z tych improwizacji w Moskwie, Puszkina, na cześć którego dany był ów wieczór, porwał się z miejsca, a zagarniając w górę włosy i prawie biegnąc po sali, wołał: Quel génie! quel feu sacré! que suis-je de lui? — i rzuciwszy się na szyję Adama, ścisnął go i całował jak brata. Wiem to od naczelnego świadka, i wieczór ten był początkiem wzajemnej między nimi przyjaźni”.

Ale jeszcze większe prawo do wspólnoty poglądów z autorem „Konrada Wallenroda” (w tym okresie ukończonego i czytane go na wieczorach przyjacielskich) rościł sobie Szewyriow. Był to wówczas dwudziestoletni pulchry młodzieniec noszący się z nadmierną powagą. Rokował wielkie nadzieje jako poeta-filozof i teoretyk romantyzmu. Razem z Pogodinem pracował nad definicją tego zjawiska, żądając od sztuki myśli i czynu ideologicznego. „Konrada Wallenroda” bez zastrzeżeń przyjął jako wzorowy poemat romantyczny. Mickiewicz o ile trafił do gustu Polewoja swoimi Sonetami, w tym wypadku wystąpił w myśli krytyka-lubomudra, który uważał za podstawową cnotę romantyzmu: syntezę narodowości, historyczności, kolorytu lokalnego z problematyką ideologiczną. Szewyriow zachwycał się poematem, z tym większą przesadą, że posiadał naturę wrażliwą i wylewną. Zwłaszcza w czasie biesiady przy stole, kiedy wino podniecało entuzjazm miłośników mądrości. „Wystarczyło mu (Szewyriowowi) z lekka się upić — wspominał S. Solowjow, — aby natychmiast zmieknąć i zacząć rozprawiać o miłości, o zgodzie, braterstwie i różnego rodzaju słodyczach. Z początku w młodości to mu się udawało nieźle i pewnego razu Puszkina, słuchając wstawionego mówcy, prawdziwego dość zgrabne kazanie o miłości, zawołał: „Ach, Szewyriowie! czemu nie jesteście zawsze pijani?”. Pewną jesienną noc Szewyriow spędził z autorem „Wallenroda” nad tekstem poematu. Mickiewicz czytał i tłumaczył, mieszając rosyjskie wyrazy z francuszczyzną. Chyba — że w ten właśnie sposób można uzasadnić dedykację skreśloną przez poetę na egzemplarzu „Wallenroda”: — „Te rappelleras-tu de la nuit de 1828, Août 19, mon cher Charviroff?”.

Na emigracji Mickiewicz stracił żywe kontakty z literaturą rosyjską. Herzen podczas spotkania w Paryżu na próżno próbował przedstawić mu wielkie zmiany, które tak szybko zaszły w redakcjach i rosyjskich salonach literackich. Tylko dziesięć lat dzieliło nowe pokolenie literackie od ludzi, w środowisku których obracał się Mickiewicz. Przebywał w Rosji w latach wielkiego przełomu, stał się naczelnym świadkiem zagłady całego pokolenia romantyków-rewolucjonistów i był obecny przy narodzinach myśli krytycznej, zamocowanej się w usiłowaniu zrozumienia zachodzących przemian dziejowych. Nie wszyscy byli wytrzymali i potęgująca się reakcja polityczna z czasem zlamala słabych i spacyła umysły. Szewyriow i Pogodin, który był jednym z pionierów krytycznej powieści obyczajowej, odzwierciedlającej życie ciemionych warstw społeczeństwa i potępiającej pozostałości feudalizmu, przeszli do obozu wstecznicstwa. W latach 40-tych reprezentowali oni tak zwaną „narodowość

oficjalną”, której jednym z ideologów był szef III Wydziału Benkendorf.

4.

Po wielomiesięcznym odosobnieniu, Mickiewicz niespodziewanie został wciągnięty w życie ścierających się moskiewskich kołtów literackich. Znalazł się w samym wirze jego wypadków, au courant wszystkich tajemnic i plotek...

Na ładach księgarni leżały obok nowości: „Sonety” Mickiewicza, „Cyganie” Puszkina, „Eda” i „Uczty” Baratynskiego. Pierwsze były przejawem dojrzenia, ostatnie już wyraźną oznaką zmierzchu romantyzmu. W „Cyganach” Puszkina dał cios bajronicznemu bohaterowi, „Eda” Baratynskiego była próbą rymowanej noweli psychologicznej. Wszystkie trzy były wodą na młyn Polewoja, popularyzatora egzotyki i narracji, które wiązał z romantyzmem szkoły francuskiej. „Telegraf” zamieścił w bardzo krótkim czasie „Sonety” w prozaicznym tłumaczeniu Wiaziemskiego z pochlebną przedmową. Pochwalił „Edę”. W tymże numerze „Telegrafu” ukazała się wzmianka o portrecie Puszkina pędzla Tropinina. Polewoj inspirował ten portret. Zapraszał poetów na rodzinne uroczystości... Po wyjeździe Puszkina i Wieniewitnowa do Petersburga, Mickiewicz zbliża się do Wiaziemskiego, pokazuje się w salonie Zeneidy Wołkońskiej, której wieczory były podobne do galowych koncertów. O Puszkina słyszano, że miał on jednocześnie kilka procesów: za „rozpowszechnienie wolnościowych i amoralnych” wierszy. Nawet w winiecie, zamieszczonej na stronie tytułowej „Cyganów”, upatrzone wybieg jakobiński. Tylko wyjeżdżając od czasu do czasu na wieś mógł pisać. Podczas jednego z takich pobytów na wsi rozpoczął przedmowę w dziejach realizmu rosyjskiego po wierszu Waltera Scotta o Murzynie Piotra Wielkiego. Ale zdawało się, że publiczność zapominała o nim. Natomiast Sonety Mickiewicza przyjęto z entuzjazmem, dorównującym tylko pierwszym poematom Puszkina. Znaleźli się zwolennicy i przeciwnicy; pierwszych było więcej. Niespodziewanie w obcej stolicy osiągnął poeta wygnaniec sławę. Drażniło go to, Sonety były dlań etapem przeszłości. Ostatni rok przeżył w zmaganiach ze swoim nowym poematem. Choroba, zmuszając go do samotności, przyspieszyła pracę. W sierpniu 1827 roku wreszcie skończył powieść litewską. Wówczas wystąpiły myśli kuszące go od dawna, jeszcze od chwili pierwszego spotkania z gronem entuzjastów „Więsnika” — myśli o możliwości redagowania własnego czasopisma. Miało ono uporządkować pojęcia związane z romantyzmem, dać miejsce dla krytyki, filozofii i poezji współczesności. Ale program pisma złożony przez Malewskiego i Mickiewicza do moskiewskiego komitetu cenzury raczej przypominał układ „Telegrafu” Polewoja. Obok literatury i sztuk pięknych miało ono otworzyć działy „nauk historyczno-politycznych, doniesień i wiadomości”, szeroko uwzględniając statystykę przemysłu i handlu. „W drugim oddziale nauk historycznych i politycznych — czytamy w programie dziennika „Iris”, — wgląd historyczny przemagać będzie w tych nawet pracach, które ściągają się mają do postępów współczesnej cywilizacji, objawiającej się we wroście przemysłu, w nowych kierunkach handlu, w działaniach kredytu itp.”. Aby uspić czujność cenzury Mickiewicz zastrzegł apolityczność w omawianiu zjawisk życia współczesnego. Konieczność pow-

stania pisma polskiego w Moskwie uzasadniał potrzebą wymiany literackich i naukowych plodów kultury rosyjskiej i polskiej:

„Moskwa, będąca jedną ze znakomitych stolic europejskich, mieszcząca w sobie uniwersytet i wiele towarzystw uczonych, utrzymująca ciągle uczone związki z zagranicznymi naukowymi zakładami; licząca w sobie zamożne biblioteki i księgarnie, jest miejscem, na którym przedsięwzięcie naukowego dziennika pomyślnie dokonane być może. Przy tylu ułatwionych pomocach Redaktor będzie w stanie utrzymać czytelników swoich na równi z ogólnym postępem oświecenia... Lecz oprócz tego głównego celu, inny jeszcze równie ważny następcą samo, jeśli tak można powiedzieć, przyszłe mieszkanie Dziennika. W Moskwie wychodzący Dziennik nie może zostać obojętnym na coraz liczniejsze bogactwa rosyjskiej literatury, na wzrost nauki, sztuk i kunsztów, na zmiany, które ciągle postęp cywilizacji w tak potężnym Państwie sprowadza. — Wielekrotnie powtórzona była smutna uwaga, że opaczne o obecnym stanie Rosji pojęcia trwają dotąd i szerzą się między zagranicznymi pisarzami, lecz boleśniej jeszcze wspomnieć przychodzi, że podobnie mylne pojęcia utrzymują się w krajach, których mieszkańcy w bliskości mowy i pierwotnych zwyczajów tyle mają ułatwionych sposobów do sprostowania dawnych i do nabycia nowych o Rosji wiadomości. Literatury polska i rosyjska, pomimo tylu i tak mocnych pobudeł nie podały sobie dotąd przyznejnej dłoni. Bogactwa jednej były i są dotąd obojętnymi dla drugiej, a ta obojętność ledwie nie zaciera śladów rzetelnego pokrewieństwa...”

W tym oficjalnym podaniu było dużo szczeroci. Rozważania te powstały z własnego doświadczenia poety. Zanim sformułował je w słowie i dał do przetłumaczenia, nieraz omawiał on swoje tezy z Malewskim, Polewojem i Wiaziemskim.

Podaniu był nadany szybki tryb. W ciągu miesiąca obiegło ono kilka instancji i na początku grudnia leżało na biurku zastępcy ministra oświaty, hrabiego Błudowa. Był to ten sam Błudow, którego pamflet na Szachowskoja sprawił, że powstało towarzystwo drwiących romantyków „Arzamas”. Ale gościnną Kassandra (takie było przezwisko arzamasowskie Błudowa), w domu której często odbywały się wesole zebrania, nie przepowiedziała własnego losu. Przeszło dziesięć lat. Błudow szybko robił karierę. Po placówce dyplomatycznej w Sztokholmie i Londynie, szczególnie wyróżnił się on podczas śledztwa w sprawie dekabrystów, mianowany członkiem specjalnej komisji śledczej. Przebudowując sprawy oświaty i cenzury, Mikołaj obsadził przez pewnych ludzi wyższe stanowiska w ministerstwie. Udział w powstaniu dekabrystów młodzieży szlacheckiej zwrócił uwagę cara na metody wychowania szkolnego. Wprowadzony został klasowy system oświaty. Uniwersytety przeznaczone wyłącznie dla szlachty, otrzymały one teologię jako przedmiot obowiązkowy na wszystkich wydziałach. Najzdolniejszych profesorów wydalono, wprowadzając na ich miejsce agentów III Wydziału. Zbliżały się czasy ministra Uwarowa, który wprowadzając mundury i podwyższając opłaty na uniwersytetach, tak motywował te innowacje w specjalnym okólniku: „miara ta zmniejszy przyrływ młodzieży, pochodzącej z niższych warstw społeczeństwa, dla których wyższe wykształcenie

jest zbędne jako zbytek, tym bardziej, że wyrwa ich z pierwotnego środowiska, nie dając korzyści ani im, ani państwu”. Na razie ministrem oświaty był Szyszkow, którego w swoim czasie tak namiętnie zwalczał „Arzamas” jako ignorant i truglodytę klasycyzmu. Obecnie główny inicjator tego dosadnego szczucia, Błudow razem z Szyszkowem organizował policję polityczną oświaty. Podporządkowane mu były, jako zastępcy ministra, główne urzędy cenzury. W pulchnych dłoniach hrabiego ozdobionych brylantowymi sygnetami — oznaką łaski i uznania cesarskiego, znalazł się losy pisma Mickiewicza.

Zaniepokojony sprawą swego „dziennika umiejętności i literatury” Mickiewicz często odwiedzał Wiaziemskiego. Wówczas książę dzielił swój czas między pracą w „Telegrafie” a wyjazdami do Ostafiewa, gdzie gościł wdowę po Karamzinie z dziećmi. Dla Polewoja w tym czasie wycokiwania na posadę Wiaziemski napisał trzy duże rozprawy: o prozie Żukowskiego, „Sonetach” Mickiewicza i „Cyganach” Puszkina. Puszkina w jego domu był domownikiem. Nieraz zastając w domu gospodarzy kładł się na ławce przy kominku i marząc, czekał cierpliwie na ich powrót z balu lub teatru. Nieraz zachodził w dzień i bawił się z synkiem Wiaziemskiego. Pewnego razu książę na przyjaźniał ich, jak poeta i mały Pawełek przewracali się po dywanie i pluł na siebie. Kiedy Puszkina był w Moskwie, Wiaziemski z nim i Korsakowem tworzył triumwirat salonowy. Żaden bal nie odbył się bez nich. Byli oni, jak dowcipkował sam Wiaziemski, „czymś w rodzaju brygadierów lub kawalerów orderu św. Anny, obowiązkowych gości honorowych na wszystkich ślubach kupieckich i obiadach imiennikowych”. Po wyjeździe poety w domu Wiaziemskiego zrobiło się ciszej. Książę w szlafroku pisał przy kominku rachunki, wiersze, lub artykuły. Ułożył dwie bajki na porządek władców i na cenzurę, którą przyrównywał do szczypców do obcinania knotów w świec. „Obowiązek cenzora — pisał w poście bajki — połącz z rozsądkiem i korzyścią: stróż światła a nie wróg, objaśnia a nie gaś”.

Wiadomości były pomyślne. Moskiewski komitet cenzury przesłał podanie Mickiewicza do kuratora okręgu szkolnego, który z kolei przekazał je do ministerstwa, skąd powędrowało ono do głównego komitetu cenzury, z nakazem ściślejszego zbadania sprawy i wydania opinii. Opinia wypadła jak najlepiej. W raporcie głównego cenzora, przygotowanym dla ministra oświaty, zaznaczono, że „skoro dziennik ma być wydawany gwoi użytkowi i zbliżeniu się literatury polskiej i rosyjskiej i skoro aprobata dał moskiewski komitet cenzury i kurator szkolnego okręgu, można wydać pozwolenie Mickiewiczowi, który zjednał sobie wielką popularność swoimi poetycznymi utworami”. Po otrzymaniu tej opinii kancelaria ministra zażądała wyciągu z archiwum ministerialnego, gdzie przechowywano wyniki śledztwa nad filaretami. Mickiewiczowi wiadomość ta mocno zaniepokoila. Wiaziemski radził udać się do Żukowskiego, tym bardziej, że Mickiewicz już dawno wybierał się do Petersburga. Z pewnych powodów postanowił on opuścić Moskwę i starał się w kancelarii generał-gubernatora o urlop. Wydawało mu się również, że w Petersburgu łatwiej uda się przeciągnąć przez igielne ucho cenzury i wydrukować „Wallenroda”. Wiaziemski już pisał w tej sprawie do przyjaciela-dostojnika. Zresztą był on innego zdania. Uważał za dobry pomysł umieszczenie w programie pisma „Iris” wzmianki o przemys-

śle. W połowie grudnia przysłała odpowiedź odmowna. W konsekwencji ostrożnej wypowiedzi Błudowa (który zaznaczył, że „jeżeli rząd uznał za potrzebne zabronić im — Mickiewiczowi i Malewskiemu — mieszkać i pozostawać na służbie w Polsce, to zapewne wskutek tych samych przyczyn nie pozwoli im wywierać wpływu na umysły w Polsce za pośrednictwem dziennika”), Szyszkow odrzucił podanie. W rezolucji swojej napisał: „nie uważam zaś za stosowne i nie widzę żadnej poważnej przyczyny po temu, ażeby powyższą sprawę przedkładać do najwyższej decyzji”. Mickiewicz wówczas już drugi tydzień mieszkał w Petersburgu, przygotowując „Wallenroda” do druku. Poemat szczęśliwie ominął niebezpieczeństwa cenzury. „Co się tyczy Adama samego — pisał Chodźko do Odyńca — bardzo dobrze wygląda i byłby ciągle wesolym, gdyby kilka nieprzyjemności nie trzymało mu humoru. Wieczorami czasem mówi nam ustępy Wallenroda i inne nowsze swoje poezje”. W dniu, kiedy Mickiewicz odebrał własnoręcznie w kuratorium kopię odpowiedzi ministra, wieczorem improwizował w licznym towarzystwie u Rogalskiego. Była to jedna z jego najbardziej zdumiewających i długich improwizacji, która wymagała wielkiego napięcia sił i umysłu — tragedia o Samuele Zborowskim.

Leon Gomoliński

Wkrótce ukaze się numer 6-7 czasopisma naukowego

„MYŚL WSPÓŁCZESNA”

Skład Komitetu Redakcyjnego:

Prof. dr Józef Chałasiński, prof. dr Jan Dembowski, prof. dr Natalia Gąsiorowska, prof. dr Tadeusz Kotarbiński, prof. dr Adam Schaff, prof. dr Zygmunt Szymanowski, prof. dr Henryk Ułaszyn.

Treść numeru:

Artykuły

Dr Adam Schaff — Marksizm a rozwój nauki.
Prof. V. Gordon Childe—Engels a nauka historii
Jack Lindsay — Antropologia jako nauka
G. Rubinsztein — Myślenie
Władysław Krajewski — Materia i materializm w świetle fizyki współczesnej
Wł. Kedrow — Pogląd Lenina na elektrony a najnowsze odkrycia fizyki

Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska nr 86, tel. 254-20, wewn. 13.
Adres Administracji: Warszawa, Al. 3 Maja 36

Skład główny: Spółdzielnia

Kroniki

J. Kurt — Akademia Nauk ZSRR i jej prace
Dr M. R. Mayenowa — Wyższe uczelnie Czechosłowacji
Stanisław Brodzki — Palestyna
Georges Teissier, J. B. S. Haldane, Marcel Prenant — Trzy głosy o ewolucji

Recenzje

Dr Henryk Raort — Marian Tyrowicz: Sprawa ks. Ściegiennego
Dr Witold Ptaszyński, Dr Józef Chałasiński, Dr Józef Górski — Trójgłos na marginesie książki Cuvilliera: „Wprowadzenie do socjologii”
Dr Tadeusz Nowacki — Dr Józef Pieter: Krytyka dzieł twórczych

Cena egzemplarza: zł 100. — Prenumerata kwart. zł 250
Konto PKO Nr VII — 995. z zazn. Wyd. „Myśl Współczesna”

Wyd. „Książka”

LEW TOŁSTOJ

„WOJNA I POKÓJ”

w nowym przekładzie Zofii Petersowej

(Fragmenty z opisu bitwy pod Austerlitz *)

○ BJECHAWSZY całą linię wojsk od prawego do lewego skrzydła, książę Andrzej pojechał w górę owej baterii, z której według słów oficera sztabu widać było całe pole. Tutaj zeskoczył z konia i zatrzymał się przy jednym z czterech dział zdjętych z podwozi. Przed nim chodził na warcie artylerzysta, który wprawdzie wyprężył się przed oficernym, ale na dany mu znak powrócił do swego równomiernego, nudnego chodzenia. Za działami stały podwozia, jeszcze dalej — konie, a za nimi paliły się ogniska artylerzystów. Na lewo, niedaleko od skrajnego działu, stał nowy pleciony szalasiak, z którego słychać było ożywione głosy oficerów.

Rzeczywiście, z baterii rozciągał się widok prawie na wszystkie pozycje rosyjskich wojsk i na większą część nieprzyjacielskich. Wprost, naprzeciwko baterii, na horyzoncie przeciwnego wzgórzka widać było wieś Schöngraben; bardziej na prawo i na lewo można było rozróżnić w trzech miejscach wśród dymnych ognisk masy francuskich wojsk, których najwidoczniejszą większość znajdowała się w samej wsi i za górą. Na lewo od wsi, w dymie, widniało coś podobnego do baterii, lecz gołym okiem nie można było dojrzeć. Nasze prawe skrzydło rozciągało się na dość stromym wzniesieniu, górującym nad pozycją Francuzów. Rozstawiona tam była nasza piechota, a na samym krańcu — dragoni. W centrum, gdzie znajdowała się właśnie bateria Tuszyńska, z której oglądał pozycje książę Andrzej, najbardziej spadzisty był stok i wzniesienie koło strumyka, oddzielającego nas od Schöngraben. Na lewo wojska nasze graniczyły z lasem, gdzie dymyły ogniska piechoty, rąbiącej drzewo. Linię Francuzów była szersza od naszej, więc zrozumiałym się stawało, że Francuzi mogli łatwo obejść nas z obydwóch stron. Za naszymi pozycjami widniał stromy, głęboki parów, przez który trudno by było odstępować artylerii i konnicy. Książę Andrzej, oparłszy się na armacie, wyjął portfel i nakreślił dla siebie plan pozycji. W dwóch miejscach zrobił otówkiem notatki, mając zamiar podać je do wiadomości Bagrationowi. Chciał zaproponować po pierwsze zesrodkowanie całej artylerii w centrum, a po drugie — przeprowadzenie kawalerii w tył, na drugą stronę parowu. Znajdując się stale przy głównodowodzącym, obserwując ruchy wojsk i ogólne zarządzenia oraz stale zajmując się historycznymi opisami bitew, mimo woli i tylko w ogólnych zarysach wyobrażał sobie przyszły przebieg spraw w mającej się odbyć walce. Przewidywał następującego rodzaju ważne wydarzenia: „Jeżeli nieprzyjaciel poprowadzi atak na prawy flank”, mówił do siebie, „pułki kijowsko-grenaderski i podolsko-strzelecki, będą musiały dopóty utrzymać się na pozycji, dopóki nie pojdą do nich rezerwy z centrum. W takim wypadku dragoni mogą z flanku uderzyć i wroga rozbić. W razie jednak ataku na środek postawimy na tym wzgórzku baterię centralną, pod jej przykryciem ściągniemy lewy flank i wycofamy się do parowu etapami”, rozumował.

Przez cały czas, gdy stał przy działach, ustawicznie słyszał, jak to często bywa, głosy oficerów, rozmawiających w szalasiu, ale nie rozumiał ani słowa o czym mówili. Nagle wśród zgiełku głosów w szalasiu zaskoczył go ton tak wyjątkowo serdeczny, że mimo woli zaczął nasłuchiwać.

— Nie, mój drogi, — mówił przyjemny i jak gdyby znajomy głos — mówię, że jeżeliby możliwe było dowiedzieć się, co będzie po śmierci, w takim razie nikt z nas nie bałby się owej śmierci. Tak, mój drogi.

Drugi głos, młodszy, przerwał mu: — Bój się, czy się nie bój — to obojętne. Nie unikniesz jej.

— A jednak się boisz! Ech wy, uczeni! — rzekł trzeci męski głos, przerywając obydwóm. — Właśnie wy, artylerzyści, tacy jesteście uczeni, bo wszystko możecie wieść ze sobą; i wódeczki, i zakąseczki.

Posiadacz tego dziarskiego głosu, widocznie oficer piechoty, roześmiał się.

— A jednak się boisz, — ciągnął pierwszy znajomy głos. — Boisz się Nęznanego. Ot co! Choćby się niewiem co mówiło, że

I znowu ów donośny męski głos przerwał artylerzyście:

„duśka pójdzie do nieba... przecież wiemy, że nieba nie ma, jest tylko atmosfera.

— No, poczęstuj-że twoją nalewką, Tuszyn, — rzekł.

„A, to ten kapitan, który u markietanta stał bez butów”, pomyślał książę Andrzej z przyjemnością poznając sympatyczny filozofujący głos.

— Naleweczki — można, — rzekł Tuszyn — a jednak pojąć życie pozagrobowe... — i nie dokończył.

W tej chwili w powietrzu rozległ się świst, coraz bliżej a bliżej, coraz szybciej i donośniej, coraz donośniej i szybciej — aż pocisk, jak gdyby nie dopowiedziawszy, co należało, z nieludzką siłą wyrwijąc grudy ziemi, runął niedaleko szalasiu. Ziemia jakby jęknęła od strasliwego ciosu. W tej chwili z szalasiu wyskoczył jako pierwszy mały Tuszyn z fajką w kąciku ust; jego dobra, rozumna twarz była nieco biała. Za nim wypadł posiadacz męskiego dzielnego głosu, zuchowaty oficer piechoty, i zapinając się, pobiegł do swego oddziału.

Książę Andrzej stanął konno przy baterii, patrząc na dym działu, z którego wyleciał pocisk. Oczy jego błądziły po obszernej przestrzeni. Widział tylko, że uprzednio nieruchome masy Francuzów zakolysały się i że na lewo rzeczywiście stała bateria: jeszcze się nad nią nie rozwił dymek. Dwaj Francuzi, prawdopodobnie adiutanci, przegalopowali górą. Pod nią, widocznie w celu umocnienia przedniej linii, szła dokładnie widoczna niewielka kolumna nieprzyjaciela. Dym z pierwszego wystrzału jeszcze się nie rozszedł, gdy ukazał się drugi, a po nich znów gruchnął wystrzał. Zaczęła się bitwa. Książę Andrzej zawrócił konia i pogalopował z powrotem do Grund na poszukiwanie księcia Bagrationa. Słyszał za sobą coraz częstszą i głośniejszą kanonadę: widocznie nasi zaczęli odpowiadać. Na dole, w miejscu, gdzie zjechał się parlamentariusze, rozległy się też teraz strzały karabinowe.

Lemarrois z groźnym listem Bonaparte'go właśnie przygalopował był do Murata, który zawstydzony, chcąc naprawić błąd, pchnął natychmiast swe wojska na centrum i na boki w celu obejścia skrzydeł; spodziewał się, że jeszcze zanim nadejdzie wieczór i przybędzie cesarz, rozbił drobny, stojący przed nim oddział.

„Oto zaczęło się!” myślał książę Andrzej czując, że krew szybciej napływa mu do serca. „Ale gdzie, w czym wyrazi się mój Tulon?” — rozmyślał.

Mijając oddziały, które kwadrans temu jady kaszę, widział wszędzie szybkie ruchy ustawiających się i chwytających za broń żołnierzy, a na wszystkich twarzach poznawał to samo uczucie ożywienia, które sam miał w sercu. „Oto się zaczęło! Straszne, a jednak radosne!” mówiła mu twarz każdego żołnierza i każdego oficera. Nie dojechawszy do budowanego umocnienia, książę zobaczył w wieczornym świetle pochmurnego jesiennego dnia jadących mu naprzeciw konnych. Na przedzie, na białym koniu, siedział jeździec w burce i barankowej czapce. Był to Bagration. Książę Andrzej stanął, czekając nań. Bagration zatrzymał konia i poznawszy księcia Andrzeja, skinął mu głową. Przez cały czas, gdy mu książę opowiadał, co widział, Bagration patrzył przed siebie.

Wyraz: „Zaczęło się! To bitwa!” malował się nawet na twardej, smagłej twarzy Bagrationa z przymkniętymi i jakby mętными z niewyspania oczami. Książę Andrzej z niespokojną ciekawością wpatrywał się w tę nieruchomą twarz; pragnął dowiedzieć się czy myśli i czy czuje oraz co myśli i co czuje w tej chwili ten człowiek. „Czy w ogóle za tą nieruchomą twarzą coś się kryje?” zapytywał sam siebie, patrząc na niego. Książę Bagration na znak zgody ze słowami księcia Andrzeja pochylił głowę i rzekł: — Dobrze! — Powiedział to z takim wyrazem, jak gdyby wszystko, co się działo i o czym go informowano, było właśnie tym samym, co już był sam przewidywał. Książę Andrzej, zadyszawszy się od szybkiej jazdy, mówił szybko — książę Bagration wymawiał słowa ze swym wschodnim akcentem bardzo powoli, jak gdyby sugerując, że nie ma dokąd się spieszyć. Jednak ruszył kłusem w kierunku baterii Tuszyńska. Książę Andrzej wraz ze swą tą pojechał za nim. Za Bagrationem je-

chali: oficer świty, osobisty adiutant Żerkow, ordynans, dyżurny oficer sztabowy na pięknym anglezowanym koniu i cywilny urzędnik — audytor, który przez ciekawość prosił o pozwolenie zobaczenia bitwy. Audytor, tęgi mężczyzna z okrągłą twarzą, oglądał się dookoła z naiwnym uśmiechem radości, trzęsąc się na swym wierzchołku i sprawiając wśród luzarów, Kozaków i adiutantów dżelne wrażenie, gdyż siedział w swym kamlotowym płaszczu na wojskowym siodle.

— Chce zobaczyć bitwę, — powiedział Żerkow do Bołkońskiego o audytorze — ale już go zabolalo w dołku!

— No, dajże pan spokój — rzekł audytor z rozpromienionym, naiwnym, a zarazem chytrym uśmiechem, jak gdyby mu pochlebiało, że jest przedmiotem dowcipów Żerkowa i jak gdyby umyślnie starał się okazać głupszym niż był w rzeczywistości.

— Trés drôle, mon monsieur prince! — rzekł dyżurny sztabsoficera (pamiętał, że po francusku tytuł księcia mówi się jakoś specjalnie, ale w żaden sposób nie mógł sobie tego przypomnieć). Zbliżyli się już do baterii Tuszyńska, gdy padł przed nimi pocisk.

— Co to upadło? — naiwnie uśmiechając się spytał audytor.

— Francuskie placuszki! — odparł Żerkow.

— Więc, znaczy, tym oni się biją?! — spytał audytor. — Ależ to straszne!

Zdawało się, że rozplywa się z zadowolenia. Ledwo dokończył, gdy znów rozległ się niespodziewany, a strasliwy świst przerwany uderzeniem w coś miękkiego... ch-ch-chlap! — żołnierz jadący z tyłu, na prawo od audytora, runął z koniem na ziemię. Żerkow i dyżurny oficer sztabowy pochylił się na siodłach i zawrócili konie. Audytor stanął przed Kozakiem, przyglądając mu się z uważną ciekawością. Człowiek był zabity, koń jeszcze drgał.

Książę Bagration zmrużył oczy i ujrzawszy przyczynę zamieszania obojętnie odwrócił się, jak gdyby mówiąc: „Czy warto zajmować się głupstwami!”. Zatrzymał konia ruchem dobrego jeźdźcy, pochylił się i wyplątał spadkę, która mu się zaczęła z burką. Szpada była staroświecka, inna niż noszona obecnie. Książę Andrzej przypomniał sobie opowieść, że Suworow we Włoszech podarował Bagrationowi swą spadkę, a wspomnienie to było mu w tej chwili wyjątkowo przyjemne. Podjechali do samej baterii, gdzie stał uprzednio Bołkoński oglądając pole bitwy.

— Czyj to oddział? — spytał książę Bagration ogniomistrza, stojącego przy jaszczu.

Pytał: „Czyj to oddział?”, ale w rzeczywistości pytał: „Czy nie boicie się tutaj?” i żołnierz go zrozumiał.

— Kapitana Tuszyńska, ekscelencjo! — krzyknął wesolym głosem, przejąc się, rudy i pęgowaty ogniomistrz.

— Tak, tak, — wyrzekł Bagration, zastanawiając się nad czymś, poczem, mijając jaszczę, podjechał do skrajnej armaty.

W chwili, gdy się zbliżał, właśnie z tego działu ogłuszając i jego, i świtę, huknął wystrzał, a w dymie, nagle zasnującym armatę, widać było artylerzystów podchwytujących działo, śpiesznie nateżających się i natarczywych je na poprzednie miejsce. Barczysty olbrzymi żołnierz Nr. 1, trzymający wycior i stojący na szeroko rozstawionych nogach, podskoczył do kół; Nr. 2 trzęsąc się ręką wkładał ładunek prochu do lufy. Niewielki przygarbiony człowiek, oficer Tuszyn, potknawszy się o lawetę, wybiegł ku przodowi, nie dostrzegając generała i spoglądając spod nastawionego daszka niewielkiej ręki.

— Dodaj jeszcze dwie linie, a będzie akurat! — zawołał cienkim głosem, któremu starał się nadać dziarskość, nie licującą z jego postacią. — Drugie! — pisał — Wal, Miedwiediew!

Bagration na niego zawołał i Tuszyn nieśmiałym, niezręcznym ruchem, jakim nie salutują wojskowi, ale raczej błogosławią duchowni, przyłożył trzy palce do daszka i podszedł do generała.

Aczkolwiek działa jego wyznaczone były do ostrzału parowu, Tuszyn strzelał zapalającymi pociskami do widniejącej w oddali wsi Schöngraben, przed którą wysuwały się wielkie masy Francuzów.

Nikt nie wydał mu rozkazu co i czym ma ostrzeliwać: on sam, naradziwszy się

ze swym feldfeblem Zacharczenką, dla którego miał duży szacunek, zdecydował, że dobrze będzie, gdy wieś zapali. — Dobrze! — rzekł znów Bagration w odpowiedzi na raport oficera i zaczął oglądać widniejące przed nim pole bitwy, jakby się nad czymś zastanawiając. Z prawej strony, najbliższej, podszli Francuzi. Poniżej wzniesienia, na którym stał kijowski pułk, w dolinie rzeczki, słychać było przejmujący do głębi, ustawiczny a przetaczający się trzask kanonady, zaś bardziej na prawo, za dragonami, oficer świty wskazał księciu kolumnę Francuzów obchodzących nasze skrzydło. Na lewo horyzont ograniczony był bliskim lasem. Książę Bagration kazał dwóm batalionom z centrum iść na prawo dla podtrzymania skrzydła, ale oficer świty ośmielił się zwrócić księciu uwagę, że po odejściu owych batalionów armaty pozostaną bez osłony. Książę Bagration odwrócił się do niego i w milczeniu popatrzył nań swymi mętными oczami. Księżciu Andrzejowi wydało się, że uwaga oficera świty jest słuszna i że rzeczywiście nie było na nią odpowiedzi. W tej chwili przygalopował adiutant dowódcy pułku, stojącego w dolinie, przynosząc wiadomość, że ogromne masy Francuzów idą dołem, że pułk jest rozbity i cofa się w stronę kijowskich grenadierów. Książę Bagration pochylił głowę na znak zgody i aprobaty. Pojechał stępą na prawo i posłał adiutanta do dragonów z rozkazem zaatakowania Francuzów. Ale wysłany tam adiutant powrócił po pół godziny z wiadomością, że dowódca dragonów wycofał się już za parów, albowiem skierowany był tam przeciwko niemu silny ogień, on zaś daremnie tracił ludzi i dlatego kazał strzelcom zsiąść z koni i schronić się do lasu.

— Dobrze, — rzekł znowu Bagration.

Gdy odjeżdżał od baterii, na lewo w lesie, również rozległy się strzały, a ponieważ do lewego skrzydła było za daleko, aby książę zdążył przyjechać na czas, posłał Żerkowa z rozkazem do starszego generała (tego samego, który przedstawiał pułkownika Kutuzowowi w Braunau), aby jak najspieszniej cofnął się za parów, ponieważ prawe skrzydło nie będzie prawdopodobnie w stanie wstrzymać dłużej nieprzyjaciela. O Tuszyńce i batalionie, który go osłaniał, zapomniano. Książę Andrzej uważnie przysłuchiwał się rozmowom księcia Bagrationa z dowódcami oraz wydawanym rozkazom i ku swemu zdziwieniu stwierdzał, że właściwie żadnych rozkazów nie wydawano, zaś książę Bagration starał się tylko stworzyć pozory, iż wszystko, co się dzieje z konieczności, przypadkowo i dzięki decyzjom poszczególnych dowódców staje się — jakkolwiek nie z jego rozkazu — jednak zgodnie z jego zamiarami. Dzięki taktowi, wykazywanemu przez Bagrationa, książę Andrzej widział, że pomimo przypadkowości zdarzeń oraz zależności ich od woli dowódców, sama obecność księcia ma wielkie znaczenie. Dowódcy, zbliżający się do księcia Bagrationa ze zdenerwowanymi twarzami, uspakajali się, żołnierze i oficerowie witali go radośnie, ozywiali się w jego obecności i najwidoczniej popisywali się przed nim swoją dzielnością.

Wjechawszy na najwyższy punkt naszego prawego skrzydła, książę Bagration zaczął zjeżdżać w dół, gdzie słychać było grzechot strzelaniny, a z powodu dymu nie można było nie dojrzeć. Im niżej zjeżdżano w dolinę, tym mniej widziano, lecz tym bardziej dawała się wyczuwać bliskość prawdziwego pola bitwy. Zaczęto spotykać rannych. Dwaj żołnierze ciągnęli pod ręce trzeciego bez czapki z okrwawioną głową. Żołnierz chrypsiał i pluł; kula trafiła go widocznie w usta lub w gardło. Drugi, spotkany przez jadącą grupę, dzielnie szedł sam, bez broni, głośno jęcząc i z dotkliwego bólu machając ręką, z której krew lała mu się ciurkiem na płaszcz; twarz jego wydawała się raczej przerażona niż cierpiąca: został ranny przed chwilą. Przechwawszy przez drogę, Bagration ze swą pojechał stromym skłonem; na dole leżało kilku ludzi; spotkano też dużą gromadę żołnierzy, wśród których byli ranni. Żołnierze szli pod górę ciężko dysząc, a nie zwracając uwagi na generała, głośno mówili i machali rękami. Na przedzie, w dymie, widać już było szeregi szarych płaszczy, a oficer, zobaczywszy Bagrationa, z krzykiem pobiegł za gromadą żołnierzy żądając, aby wrócili.

*) Z przygotowanego do druku przez Sp. Wyd. „Czytelnik” nowego wydania „Wojny i Pokoju”.

*) Bardzo zabawne, książę.

Bagration podjechał do szeregów, w których tam i ówdzie szybko klaskaly wystrzały, zagłuszając rozmowy i krzyki komendy. Powietrze przesycał prochowy dym. Zakopane twarze żołnierzy były ożywione. Jedni wkładali stemple w lufy karabinów, drudzy podsyppali proch na panewki, wyjmowali z ładownic naboje, a trzeci strzelali. Poprzez gęsty dym prochu nie rozpraszającego przez wiatr nie widać było do kogo strzelają. Dość często słychać było przyjemne dźwięki brzęczenia i świstu. „Co to jest?” pomyślał książę Andrzej, podjeżdżając do gromady żołnierzy. „Nie może to być tyraliera, bo stoją skupieni! Nie może to też być atak, bo się nie poruszają! Nie może być i carré bo stoją w nieodpowiednim szyku!”

Szczupły, na pozór słabowity starszyszek, dowódca pułku, z miłym uśmiechem, z oczami na wpół zakrytymi przez powieki, co nadawało mu wygląd łagodny, podjechał do księcia Bagrationa i przyjął go jak gospodarz przyjmującego drogiego gościa. Zraportował mu, że miał miejsce konny atak Francuzów na jego pułk i jakkolwiek atak ten został odparty, pułk stracił ponad połowę ludzi. Mówiąc, że „atak został odparty”, dowódca nadał wprawdzie tę wojenną nazwę temu, co się w jego pułku działo, ale w rzeczywistości nie wiedział, co się stało przez te pół godziny z poręczonymi mu wojskami i nie mógł z całą pewnością powiedzieć, czy atak został rzeczywiście odparty, czy też pułk jego jest przez ów pułk rozbity. Na początku akcji wiedział tylko, że ponad całym pułkiem przelatowały pociski i granaty, bijąc w ludzi, że potem krzyknął ktoś: „Konnica!” i nasi zaczęli strzelać. Strzelali, ale już nie do konnicy, która się skryła, lecz do pieszych Francuzów, którzy się ukazyli w dolinie oraz do naszych. Książę Bagration pochylił głowę na znak, że wszystko dzieje się całkowicie według jego życzeń i przypuszczeń. Odwróciwszy się do adiutanta, kazał mu sprowadzić z góry dwa bataliony szóstego pułku strzelców, obok którego właśnie przejechał. Księcia Andrzeja uderzyła w tej chwili

zmiana w twarzy Bagrationa. Wyrażała ona skupioną i pełną szczęścia stanowczość, jaką miewa człowiek, który w gorący dzień gotów jest rzucić się do wody i biorący ostateczny rozped. Bagration nie miał już ani niewyspanych i mętnych oczu, ani sztucznie zamyślonego wyglądu: okrągłe, mocne, jastrzębie oczy entuzjastycznie i trochę pogardliwie patrzyły przed siebie, prawdopodobnie nie zatrzymując się na niczym, chociaż w ruchach księcia pozostała uprzednia powolność i umiarkowanie.

Dowódca pułku zwrócił się do niego z prośbą, aby odjechał w tył, ponieważ tutaj jest zbyt niebezpiecznie. — Wasza ekscelencjo, na miłość boską... — mówił, szukając potwierdzenia we wzroku oficera świty, który się od niego odwracał. — Zeche ekscelencjo sam spojrzę! — i wskazywał kule, które bez ustanku świstały, śpiewały i brzęczały dookoła nich. Mówił takim tonem prośby i wyrzutu, jakim cięśla mówi do pana, który wziął się do topora: „Dla nas to sprawa zwykła, a pan sobie odcisków narobi!” Mówił w taki sposób, jak gdyby owe kule nie mogły zabić jego samego, a na wpół zamknięte oczy nadawały jego słowom wyraz jeszcze bardziej przekonywujący. Oficer sztabu przyłączył się do wywodów pułkownika, lecz książę Bagration, nie odpowiadając, kazał zaprzestać strzelaniny i ustawić się w taki sposób, aby zrobić miejsce dla nadchodzących dwóch batalionów. Gdy to mówił, dymna zasłona, zakrywająca dolinę, jakby pociągnięta niewidzialną ręką odpłynęła pod wpływem nagłego wiatru z prawa na lewo i ukazała się przed nimi przeciwległa góra z poruszającymi się na niej Francuzami. Wszystkie oczy mimowoli skierowały się na nieprzyjacielską kolumnę zbliżającą się i wijącą się po serpentynie pochyłości. Widać było kudłate czapki żołnierzy, można już było odróżnić oficerów od szeregowych, a nawet ich sztandar, trzepoczący o drzewce.

— Dobrze idą! — odezwał się ktoś w świącie Bagrationa. Czolo kolumny schodziło już w dolinę. Starcie powinno być nastąpić po tej stronie stoku.

Resztki naszego pułku, biorącemu udział w akcji, śpiesznie się formując, odchodzili na prawo; za nimi, rozpędzając maruderów, podchodzili w szyku dwa bataliony szóstego pułku strzelców. Nie zwrótny się jeszcze z Bagrationem, ale słychać już było ciężki mocny krok, odbijany miarowo przez masę ludzką, idącą w nogę. Z lewego skrzydła, najbliższej Bagrationa, szedł dowódca oddziału, postawny mężczyzna z okrągłą twarzą, na której malował się wyraz głupoty i uszczęśliwienia: ów oficer, który wybiegł był z szalasu. Najwidoczniej nie myślał w tej chwili o niczym prócz tego, aby dziarsko minąć swe dowództwo. Szedł lekko, pewny siebie, jakby płynąc na muskularnych nogach bez najmniejszego wysiłku, przejąc się i swą lekkością odróżniając od ciężkiego stapania żołnierzy, stosujących się do jego kroku. Trzymał u nogi cienką wąską szpadę (szpadę giętą, niepodobną do broni) i oglądając się to na dowództwo, to w tył, a nie wypadając z taktu, zrzęcznie zwracał się całą swą siłą postacją. Wydawało się, że wszystkie siły duszy skierował na to, aby przejść obok dowództwa w jak najlepszej formie i że jest szczęśliwy czując, iż spełnia swe zadanie dobrze. „Lewa... lewa... lewa!” zdawało się, iż mówi w myślach po każdym kroku, a według poddanego taktu szła cała ściana żołnierskich postaci o różnych surowych twarzach, żołnierzy obarczonych torniastami i bronią, a mimo to powtarzających w myślach co krok: „Lewa... lewa... lewa!” — Gruby major, sapiąc i gubiąc takt, obchodząc właśnie krzak po drodze, a zapóźniony żołnierz zdyszany, z przestraszoną twarzą z powodu swej niepoprawności, klusem dopędzał oddział, gdy pocisk, rozpierając powietrze i ze świstem przeleciałszy nad głową księcia Bagrationa oraz świty, w takt „...lewa... lewa...” uderzył w kolumnę. — Szlusuj! — zabrzmiał natychmiast popisujący się głos dowódcy oddziału. Żołnierze lukiem obchodzili coś w miejscu, gdzie upadł pocisk, a stary wojak, podoficer, który zatrzymał się był przy zabitych, dopędził swój szereg, podskoczył, zmienił nogę,

schwycił takt i gniewnie się obejrzał. „Lewa... lewa... lewa!” zdawało się, iż słychać spoza groźnego milczenia i miarowego kroku jednocześnie uderzających o ziemię nóg.

— Zuchy chłopcy! — rzekł książę Bagration.

— Radzi-i-i...! Oo-o-o-o! — rozległo się wzdłuż szeregów.

Ponury żołnierz, idący z lewej strony, odpowiadając tym okrzykiem spojrzął na Bagrationa z takim wyrazem, jakby mówił „Sami wiemy!”, drugi, nie oglądając się na dowódcę i jakby obawiając się wyjścia z formy, otworzył usta i przeszedł krzyżąc.

Kazano stanąć i zdjąć tornistry. Bagration objechał szeregi, które go mięły i zsiadł z konia. Oddał Kozakowi cugle, zdjął i rzucił mu burkę, wyprostował nogi i poprawił na głowie czapkę. Czolo francuskiej kolumny z oficerami na przedzie ukazało się spod góry.

— Z Bogiem! — wyrzekł nagle Bagration mocnym, donośnym głosem; na moment odwrócił się do frontu i machając rękami, niezdarnym krokiem kawalerzysty poszedł przodem, jakby z trudem, po nierównym polu. Książę Andrzej czuł, że jakaś nieprzewidywana siła ciągnie go naprzód i doznał uczucia wielkiego szczęścia.

Francuzi zatrzymywali się już blisko; książę Andrzej, idący obok Bagrationa dokładnie rozróżniał obandażowania, czerwone epolety, a nawet twarze Francuzów (dokładnie widział jakiegoś starego francuskiego oficera, który wykręcając nogi w kamazach i przytrzymując się krzaków, z trudem szedł pod górę). Książę Bagration nie wydawał żadnego nowego rozkazu i szedł milcząc przed szeregami.

Nagle wśród Francuzów huknął wystrzał, po nim drugi... trzeci... i oto wzdłuż wszystkich rozsypanych szeregów nieprzyjacielskich buchnął dym i zatrzeszczała kanonada.

Lew Tolstoj
tłum. Zofia Petersowa

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

A JEDNAK SIĘ PORUSZA...

ARTYKUŁ mój o książce profesora Borowego („Kiedy profesor przestaje być formalistą”, Kuźnica Nr 25 z dnia 20.VI) wywołał replikę publicysty „Dziś i Jutro” Zygmunta Lichniaka (Nr. 27 z dn. 4.VII). Polemista zarzuca mi tylko: 1) wewnętrzne niekonsekwencje, 2) śmieszność (?), 3) nieuczciwość.

Ani jeden z tych zarzutów nie jest prawdziwy — ani uczciwy.

1. **Wewnętrzne niekonsekwencje.** Lichniak sądzi, iż sprzeczne są moje dwa sądy: a) że nauka winna zmieniać tradycyjny obraz świata, a profesor Borowy postępuje się tradycyjnymi pojęciami, b) że sąd profesora Borowego o wartości poezji XVIII wieku jest zmianą hierarchii w ocenie wartości poetyckich tego czasu. Polemista popełnia tu nadużycie. Pisałem, iż profesor Borowy posługuje się tradycyjnym, niekrytycznym pojęciem poezji. I w tym zakresie nie korzysta z przywilejów krytycznych nauki. Jak pouczy mego adwersarza każdy teoretyk nauki z tradycyjnym, niekrytycznym wyjaśnianiem rzeczywistości (co jest funkcją nauki) może łączyć się mniej lub bardziej nieoczekiwane wartościowanie tej rzeczywistości. Profesor Borowy nie zrewidował tradycyjnych i niekrytycznych pojęć teoretycznej, natomiast odwrócił hierarchie wartości swoich postępów poprzedników z doby pozytywizmu. I tu nie ma żadnej sprzeczności, drogi przeciwniku.

Druga rzekoma niekonsekwencja: uważam, iż nie ma jakiejś „naszej” estetyki powszechnie obowiązującej wszystkich współczesnych i przytomnych, estetyki wyrosłej z „naszego”, właściwego „naszemu” pokoleniu przyrodzonego poczucia smaku, a jednocześnie uważam się mówić, że coś mnie się podoba lub nie. I tu nie ma sprzeczności, mój wrogu!

Nie ma „naszej” estetyki. Są natomiast, jak pisałem w recenzji i co polemista wołał ukryć, różne estetyki, wyrażające różne zwalczające się, a najzupełniej współczesne kierunki światopoglądowe, ideologiczne klasowe. Sądy profesora Borowego są wyrazem jednej ideologii — moje drugiej.

I dlatego mam prawo sądzić. Obaj jednak nie mamy prawa twierdzić, iż nasze oceny są wyrazem naturalnych potrzeb estetycznych pokolenia. Bo to jest nieprawda.

Na tym zaś aksjomacie zbudowana jest książka profesora Borowego. I dlatego trudno jej przyznać wartość metodologiczną. Ten punkt najpełniej rozwinięty w mojej recenzji Zygmunta Lichniaka sprowadza do drobnej rzekomej sprzeczności. A przecież tylko przez obalenie tego fundamentalnego zarzutu dałoby się obronić książkę profesora Borowego. Zygmunta Lichniaka tego nie zrobił i obrona zawiodła z kretesem.

2. **Śmieszności.** Miałem rzekomo zarzucać profesorowi Borowemu polityczny machiawelizm w hierarchizowaniu wartości estetycznych. Jest to złośliwa nieprawda. Nic nigdy nie mówiłem o intencjach politycznych pro-

fesora Borowego. Pokazywałem tylko, do jakich rezultatów, także politycznych, prowadziła właśnie niepsychologiczne intencje, a określone założenia metodologiczne i aksjologiczne. Nie walczyłem z cudzą psychiką, a z obiektywnym aparatem pracy naukowej, który musi prowadzić do błędów faktycznych i politycznych. Drugim dowodem mojej śmieszności ma być ocena Krasickiego jako pisarza postępu. Dla Lichniaka nie jest on postępowcem, bo był w życiu sybarytą. Obróca Borowego winien znać chociaż estetykę Crocego i umieć odróżnić osobowość życiową od osobowości artystycznej. Nie bronię tego odróżnienia, ale warto je znać. Dzieła Krasickiego wyrażają idee postępu, chociaż w życiu Książę Biskup był sybarytą. Jeśli mój napastnik nie zna Krasickiego — proszę przeczytać sobie sądy o nim znakomitego erudyty prof. Krzyżanowskiego, można im ufać, a wykazują dowodnie postępowość X. B. W. Najlepiej zaś sięgnąć jednak do cytowanej w mojej recenzji rozprawy marksysty D. Hopensztanda. Oj, warto panie Lichniaku.

3. **Nieuczciwość.** Lichniak zarzuca mi, że celowo rozdynam jakiegoś zdanie profesora Borowego krytyczne w stosunku do postępowych pisarzy XVIII w. i nieuczciwie zamazując jego sąd właściwy, który ma, według Lichniaka, być dalekim od stronniczego krytycyzmu w stosunku do postępowców.

Mam nadzieję, że po tych bojach prasowych książka profesora Borowego będzie już przeczytana przez wszystkich, którzy się naszą polemiką interesują. Odwołuję się do ich bezstronnego sądu. Lichniak nie przeczy, iż profesor Borowy bierze za podstawę oceny pisarzy ich stosunek do uniesień religijnych, nie przeczy, iż razi go każdy zwrot antykie-rykalny, iż nie docenia wartości wolterianizmu w kulturze i poezji polskiej.

Adwersarz! nie da się czarnego nazwać białym. Książka Borowego jest stronnicza w

swoich sądach. I sądzi na niekorzyść postępowców XVIII wieku.

Dowodem mojej nieuczciwości ma być zacytowany przez Lichniaka ustęp o Jasińskim. To niestety mój krytyk jest nieuczciwy. Pisze bowiem „zacytujemy z książki Borowego ten fragment, z którego Żółkiewski czerpie materiał do swoich oskarżeń”. I cytuję kawałek strony 303. Gdy ja opierałem się na sądach zapisanych na str. 300, 301, 302, 303 i tak dalej aż do 307. Cytowałem zwroty Borowego ze str. 302 i 305.

Wedle Lichniaka Borowy docenia Jasińskiego. To jest sąd nieuczciwy. A dowody — twierdzenia Borowego o Jasińskim. Na str. 301 autor w tonie (a ton znaczy w krytyce literackiej!) wyraźnej niechęci charakteryzuje poemat „Sprzeczki”. Nazywa go liberyńskim, antyreligijnym, skabrycznym. Czy to są w ustach Borowego pozytywne epitety? Borowy nie widzi w utworze harmonii artystycznej. Widzi w poemacie „rzeczy mało taktowne”, a nie pisze zupełnie o jego wymowie społecznej. A liberyństwo to była wielka rzecz w XVIII wieku!

Na cytowanej przez Lichniaka str. 303 mamy zarzuty naiwności, na poprzedniej znów zjawia się skabryczność. Na str. 305: „Wiersz... jak wszystkie prawie inne wiersze Jasińskiego, nierówny. Pełno w nim prozaizmów, dłużyzn, naiwności”. Poza tym zaś mamy tylko analizę typu uczuciowości Jasińskiego.

A więc profesor Borowy treści społeczne wierszy Jasińskiego charakteryzuje tak, żeby czytelnik widział w nich gorsze, nietaktowne liberyństwo, o „kawalerskiej” funkcji rozbawiania niewybrednych kompanów. Nie daje (i proszę być uczciwym, panie Lichniaku!) charakterystyki społecznej funkcji i zawartości tego liberyństwa. Natomiast przemilczając te sprawy, całą uwagę zwraca, zgodnie ze swoim założeniem, na zawartość emocjonalną wierszy Jasińskiego i analizuje typ

psychologiczny tej emocjonalności w sposób właściwie oderwany od chwili dziejowej.

Gdzieś więc jest ten obraz Jasińskiego poety-rewolucjonisty?

I tak przeciwko memu polemiste mógłbym analizować rozdział po rozdziale książki Borowego. Czarne nie będzie białym, choćby „Dziś i Jutro” wylało na mnie nie jeden, lecz trzy kubły pomyj. Główny zarzut, który stawiałem książce prof. Borowego dotyczył formalnego typu jego analiz. Ten typ analizy przechodzi do porządku nad treścią społeczną dzieła. Profesor Borowy przestawał być formalistą, gdy chodziło o poematy liberyńskie. Wtedy atakował treść. W każdym innym wypadku po prostu ją przemilczał. To musiało w konsekwencji dać stronniczą ocenę i charakterystykę poezji XVIII wieku.

Sam fakt, że „Dziś i Jutro” z taką pasją, dawno niewidzianą na łamach naszej prasy literackiej, rzuciło się na mnie dowodzi, że nie pomyliłem się. Książka profesora Borowego stała się odrazu sztandarowym dziełem obozu, który i mój krytyk reprezentuje. Stała się przecież tym sztandarem nie ze względu na swój charakter metodologiczny. Panowie z „Dziś i Jutro” nie są formalistami. Zresztą artykuł Lichniaka dowodzi, że i oni nie bronią nawet marginesowo walorów metodologicznych książki Borowego. Włec? Jej wartościujące sądy — bardzo stronnicze, bardzo przesycone tendencją ideologiczną, światopoglądową, sądy o wyraźnej dzisiejszej funkcji politycznej i wychowawczej uczyniły z tej pracy dzieło sztandarowe obozu reprezentowanego przez „Dziś i Jutro”.

Wątpię tylko, czy profesor Borowy zgodzi się na takie zaanektowanie go przez „imperialistyczną” grupę „Dziś i Jutro”. Był bowiem przy całym swoim fideistycznym światopoglądzie zawsze demokratą.

Lichniak kończy, że moja recenzja pisana jest z punktu widzenia partyjnego. Rozumiem, iż oznacza to „z punktu widzenia określonej grupy społecznej” (jak mówił Lenin). Bardzobym chciał, aby tak rzeczywiście było. Abym istotnie wyrażał punkt widzenia klasy i grup, które reprezentuje moja partia. Bo „profesorski obiektywizm”, „wegetariański brak zębów” — jest, jak wykazała także moja recenzja i czego nie obalił Lichniak, pełnym hipokryzji pozorem nawet u takich uczonych jak Borowy. Każdy sądzi z punktu widzenia określonej grupy społecznej. A moja recenzja dowodziła, że profesorowie właśnie to robią, chociaż do tego wola się nie przyznawali.

Nie oznacza to odrzucenia postulatów obiektywizmu. Tylko właściwie — niestety — jego pojmowanie. Właśnie materializm dialektyczny rozpatruje procesy społeczne z istotnie obiektywnego, naukowego punktu widzenia, a przeciwnicy materializmu starają się zamazać obiektywne klasowe sprzeczności, ukrywają klasowe pozycje i korzenie swojej ideologii.

Obiektywizm wymaga surowej świadomości metodologicznej — nie znosi profesorskiej hipokryzji.

Stefan Żółkiewski

TANIE KSIĄŻKI POPULARNO - NAUKOWE

UKAZAŁY SIĘ NOWE TOMY

BIBLIOTEKI RADIOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO:

- Nr 4/5 Dr WITOLD DOROSZEWSKI, prof. Uniw. Warszawskiego „ROZMOWY O JEZYKU”. Stron 240 Cena 300,— zł
 Nr 6 WACŁAW BIELECKI „EUROPA Z PROFILU”. W krajach starej i nowej demokracji. Z rysunkami ANTO. NIEGO UNIECHOWSKIEGO. Stron 200 Cena 200,— zł
 Nr 7 Dr WITOLD RYBCZYŃSKI „CO TO JEST RADAR”. Stron 48, rycin 14 Cena 80,— zł

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.



RADIOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

(7892)

JAKUB LITWIN

O Wielkiej Rewolucji Francuskiej *)



Piotr Kropotkin

FRANCUSKA myśl rewolucyjna miała niewątpliwie charakter mieszczański. Napewno nie robotniczy, gdyż klasa robotnicza była wówczas co najwyżej „klasą dla innych” (Mitin) i nie posiadała własnych, praktycznych koncepcji społeczno-ustrojowych. Nawet ówczesna utopijska myśl socjalistyczna miała raczej cechy biedackie, niż klasowo-robotnicze i była refleksem bytu społecznego tych szerokiej rzeszy nędzarzy, tak na wsi, jak i w mieście.

Trzeba by jednak jeszcze zapytać, czy myśl mieszczańska, a więc myśl klas opartych o kapitalistyczny system posiadania i produkcji, była czymś jednolitym i nie zróżnicowanym?

Zyrondyści reprezentują wielkie mieszczaństwo — już wówczas dysponujące wielkim bogactwem i wpływami w państwie, przy tym na tylerewolucyjne i inteligentne, by inicjując rewolucję, nie zaskodziło swojej pozycji materialnej i klasowej. A jakobini? Zapytajmy najprzód kogo nie reprezentowali? Obcą im była dola spauperyzowanej biedoty, tych wielkich rzesz ludności francuskiej, wyrzuconej ze wsi i oczekującej na urzędniactwach wielkich miast pracy i chleba. Nie lepiej też znali potrzeby i aspiracje ludności wiejskiej — a w szczególności uboższych chłopów. Reprezentowali więc raczej drobne, albo być może i średnie mieszczaństwo — tych wszystkich rzemieślników, oberżystów, kupców, handlarzy, drobnych posiadaczy; z chłopstwem zaś byli o tyle zgodni — o ile ich interesy zbliżały się z drobnomieszczańskimi.

Czy były to — klasowo — dwa jedne i wyłączone nurty rewolucji francuskiej? Wątpliwe. Chociażby z tych tylko względów, że rozwarstwiona była już wówczas ludność wsi — a miasta roily się od proletariatu i biedoty, która często rodzić będzie myśl utopijsko-socjalistyczną, niekiedy anarchistyczną, zawsze radykalniejszą od mieszczańskiej. Ale klasa ta łatwo ulegała wpływom mieszczaństwa i przeważnie nie umiała się bronić przed jego przewagą.

Jaki zaś był obraz dworu i szlachty?

Te sfery słuchały — nie słysząc. Nie chciały długo, może zbyt długo słyszeć narzekania mieszczaństwa, chłopów i biedoty. Rewolucja zaś była tym gwałtowniejsza, im dłużej klasy rządzące są oślepięne własnymi marzeniami i urojeniami. Dlaczego zwołując Stany Generalne — przygotowywały równocześnie zamach stanu? Prawdopodobnie — świadomość klasowa nie odpowiadała ich rzeczowej, materialnej pozycji społecznej. Tragizm nieświadomości ciężkiej będzie na szlachcie przez cały okres jej społecznego konania.

Rewolucja toczyła się mimo i wbrew ich woli — tym ostrzej, im bardziej jej nienawidzili. A napięcie antagonizmu społecznego wzrasta coraz z odległością od szczytów hierarchii społecznej.

Wejźmy jednak w rewolucję i zapytajmy za Kropotkinem: kto — jaka klasa albo klasy — były siłą motoryczną rewolucji francuskiej — wielkie mieszczaństwo czy lud?

14 lipca podniesiono ostatecznie kurtynę. Dotąd procesy społeczne toczyły się w salach obrad, w Wersalu, w Sali Gry w Pilke. Teraz przeniosły się na ulicę.

Wąskie i ciasne były ulice ówczesnego Paryża. Miały wygląd rozdartych rur. Gdy tego słonecznego dnia mieszkańcy przedmieść wylegli ze swych domów — ulice stały się jeszcze węższe i jeszcze ciśniejsze. Nie mieściły wzbudzonych mas.

Ale kto je prowadził? Czy samorodni przywódcy? Książę Orleanu? Może przedstawiciele burżuazji? „Setki agitatorów politycznych — mówi Artur Young — „nieznanych” naturalnie — wyteżalo wszystkie siły.

*) Piotr Kropotkin: Wielka Rewolucja Francuska. Nakł. „Czytelnik”, Spółd. Prasy „Słowo” — Spółd. Wydawnicza, Kraków 1948, str. 507.

aby utrzymać wzburzenie i wyciągnąć lud na ulicę. Zabki i w ogóle ognie sztuczne — były jednym z ulubionych środków; sprzedawano je za pół darmo, a gdy tłum zbierał się, by się przyglądać ogniom sztucznym, puszczanym z rogu jakiejś ulicy, ktoś zaczynał przemawiać do ludu i opowiadać mu wiadomości dotyczące spisków dworu”.

„Buntowniczymi sprzymierzeńcami” grozi dworowi Mirabeau. 12 lipca Kamil Desmoulins wzywa lud do broni, a lud w przeddzień zburzenia Bastylii wznosi bezustannie okrzyki na cześć księcia orleańskiego. Wzywają go ci wszyscy, którzy jego rękoma chcą zagrozić dworowi. A jakiej używają techniki propagandowej? Być może nasuwa się analogia uczt ludowych starożytnego Rzymu, do którego cnoty i moralności rewolucjoniści francuscy chcieli się siłą upodobnić. Ale Desmoulins, Orleanczyk, czy mówcy mieszczańscy, a nawet ów „lud” tak mało przypominają starożytnych, jak obrazy Davida sztukę klasycyzmu.

Po zburzeniu Bastylii mieszkańcy przedmieść wrócili do swoich domów. Mieszczaństwo — do swoich. Jego reprezentanci wykorzystują zwycięstwo, robią dla polityki, ustawy i prawa. Kto zaś dba o proletariuszy, drobnomieszczań i chłopów?

4 sierpnia — w czasie słynnej nocy braterstwa i zrzeszeń — szlachta z księżmi rezygnuje ze swych praw i przywilejów — niewątpliwie zastraszona wystąpieniem mas miejskich i buntami chłopskimi. Znosi się prawa feudalne. Z pewnymi zastrzeżeniami. Kościołowi należy nadal płacić dziesięcinę, a ciężary rzeczowe chłop musi wykupywać, później zaś, w lutym 1790 r. Zgromadzenie nałoży nań przymusowy wykup rent gruntowych. O ile biedocie wiejskiej albo nawet średniorolnemu brak gotówki czy zasobów, oczywiście, że część praw feudalnych obciążać będzie go nadal.

W każdym razie zamożne mieszczaństwo osiąga zwycięstwo. Nie ulega wątpliwości, że posiada dostateczne środki materialne, by pozbyć się zwierzchnictwa panów. Nie rzadkie są też wypadki, że samo mieszczaństwo jest właścicielem praw feudalnych w stosunku do klas uboższych, a w pierwszym rzędzie wobec chłopów. Nie chce więc z praw tych rezygnować.

Rewolucja francuska nie jest, bez wątpienia jednolitym, zwartym obrazem. Przypomina raczej kompleks nakładających się na siebie obrazów, albo półtło z kilkoma pokładami farb, nie zawsze szarmonizowanych — ale mocno z sobą powiązanych.

Kropotkin zauważa w niej dwa nurty — mieszczański i ludowy. Można by w nich jednak odnaleźć więcej odcieni. Jednolitym nie było przecież ani mieszczaństwo ani lud, który zawierał w sobie różne klasy.

Od 1790 roku możnaby stwierdzić pewien zastój procesu rewolucyjnego. Bourgeois jest zaspokojony w swych żądaniach i nie chce iść dalej. Ale chłop buntuje się, pali dwory i papiery hipoteczne. „Plan zagarnięcia dóbr przyznanych panom od stu dwudziestu lat jest jednym z artykułów ich programu” — oświadcza jedno z ówczesnych sprawozdań. W zasadzie nie osiągnęli jednak nowych zwycięstw i praw. Zgromadzenie nawet uchwała dekret przeciw „buntownikom”. „Wszystkich tych, którzy podburzają ludność miast i wsi do gwałtów przeciw własności, posiadłościom i dziedzicznemu granicom, przeciw życiu i bezpieczeństwu obywateli, pobieraniu podatków, wolności sprzedaży i handlu podami rolnymi ogłasza się jako wrogów Konstytucji, prac Zgromadzenia, Natury i Króla. Przeciwko nim ogłosi się sądy doraźne” — pisze Monitor 6 czerwca 1790 r.

Mieszczaństwo broni ze wszystkich sił uzyskanych pozycji, a równocześnie pozostałości feudalizmu.

Nie zmieniła w zasadzie sytuacji ucieczka króla. Ale scena w Varennes jest charakterystycznym obrazkiem przemian społecznych Francji. Kto zatrzymuje króla? Oberżysty, chłop, rzemieślnicy. Jednym słowem — lud, który nabrał już poczucia obywatelskiego i patriotycznego. Rozumie swą odpowiedzialność wobec rewolucji i wypalające go się w jej ogniu narodu francuskiego. „...Ta noc była grobem władzy królewskiej. Król, niegdyś symbol jedności narodowej, tracił swą rację bytu, stając się symbolem jedności międzynarodowej tyranii przeciw ludom. Wszystkie trony Europy to odczuli”. A równocześnie występował na arenę lud, by wywierać odtąd decydujący nacisk na swych przywódców politycznych. Ów Drouot, działający z własnej inicjatywy „przebiegający konno... w pościgu za arcydziającą królem — to symbol ludu...”, świadomości klasowej drobnomieszczaństwa, chłopów, rzemieślników — powiedzieliśmy dzisiaj, — i jego poczucia narodowego.

Być może rewolucja zamarałaby w latach 1791-92 — po opracowaniu nowej konstytucji, zakończyłaby się możliwie jakimś mieszczańsko-szlacheckim kompromisem, gdyby... Historycy nieraz zadają to pytanie. Ale rewolucja francuska dokonywała się w sytuacji, o tyle bardziej, niż angielska, dojrzałej społecznie i zastrzeżonej, — wewnątrz i na arenie międzynarodowej — że chcą zniszczyć feudalizm i zaprowadzić ustrój kapitalistyczny — musiała więcej niszczyć i radykalniej, a

zarazem więcej stwarzać i głębiej wkopać fundamenty nowej budowli społecznej.

Wewnętrzne kłopoty szlachty i dworu, spiski i kontrrewolucyjne powstania, zagrażająca wojna interwencyjna, a przy tym wynikający z potowiczności dotychczasowych reform społecznych stan jakiegoś społeczno-ustrojowego prowizorium, które utrudniało rewolucji zarówno atak jak i obronę, zmuszają rewolucjonistów do radykalniejszych posunięć. Jakobini wespół z sekcjami pociągają lud do marszu na Tuileries, a później do oczyszczenia więzień paryskich z rojalistów i spekulantów. Pierwsze uderzenie niszczy ostatecznie monarchię, drugie unieszkodliwiło tych, którzy w Paryżu stanowili potencjalny lub aktualny element zdrady narodowej.

Co mówią na to zyrondyści? „...Są przede wszystkim zajęci sobą — piszą Buchez i Roux — widzą z przykrością, jak władza wymyka się im z rąk i przechodzi do ich przeciwników... ale nie mają powodów ganić rozgrywających się wypadków. Nie tają, że one tylko mogą ocalić niepodległość narodową i zabezpieczyć ich samych przed zemstą zbliżającej emigracji”.

Władza wymyka się i niewątpliwie przejdzie w ręce jakobinów i drobnomieszczaństwa.

W pierwszym okresie rewolucji drobnomieszczaństwo wespół z innymi klasami ludowymi — w imię sprawy wielkiego mieszczaństwa — później usuwa w cień burżuazję i walczą w imię swoich interesów — bo pogłębiając równocześnie zdobycze rewolucji obydwie grupy nie przekroczą jednak zasad prywatnej własności i kapitalistycznych metod produkcji.

Niewątpliwie, że lud częściej walczył dla burżuazji, niż burżuazja dla ludu — jak dowodzi Kropotkin. Ale przypuszczalnie tylko z tego względu, że żądania klas stojących poniżej burżuazji szły dalej i wymagały radykalniejszych reform. Gdy jednak i te zostają zaspokojone — przywódcy drobnomieszczańscy wolą zginać, niż wypowiedzieć następne hasło walki rewolucyjnej: socjalizm. Ale czy można im z tego powodu robić zarzuty? Myśl socjalistyczna wypowiedziana wówczas ustami Jakuba Roux, Gracchusa Babeufa i Buonarrotiego — ma wszelkie znamiona życiowej nieprzystosowności i utopii. Jest co najwyżej pięknym ideałem, nie może jednak być jeszcze zasadą kierowniczą bytu społecznego.

Ci, którzy doprowadzili rewolucję mieszczańską do jej możliwych krańców — Robespierre, Saint-Just, Hanriot — nie widzieli praktycznej możliwości posunięcia rewolucji poza osiągnięte pozycje, obawiali się bowiem przemocy burżuazji i nie rozumieli żądań klas nieposiadających. Wpadli w normalny dylemat drobnomieszczaństwa. Stąd terror — który miał utrzymać rewolucję w stanie stałym, jakby samo pojęcie „rewolucja” nie zawierało w sobie wewnętrznej dynamiki.

9 Thermidora Robespierre wygłasza swe ostatnie przemówienie, w którym opisuje trudności republiki i kończy: „Jakież są środki, aby zio uleczyć? Należy ukarać zdradców, odnowić Komitet Bezpieczeństwa; odczyścić ten Komitet i podporządkować go Komitetowi Ocalenia; stworzyć jednolity rząd pod najwyższą władzą Konwentu Narodowego, który jest środkiem władz i sądzia”. I nic więcej. Słowa Robespierre’a powtórza później mieszczańscy politycy niejednokrotnie w momentach kryzysów społecznych. Wielki Robespierre, który jeszcze kilka miesięcy temu stawiał najradzykalniejsze żądania społeczne, nie odwołuje się teraz do powstania ludowego (możeby go lud już nie usłuchał, gdyż jest zmęczony rewolucją i jakoś zaspokojony) i za środek zaradczy uznaje tylko pewne zarządzenia administracyjno-państwowe. Następnego dnia bez walki odda się w ręce przeciwników.

Po 9 Thermidora wielkie mieszczaństwo znów bierze władzę w swoje ręce, ale odgrywa już inną rolę społeczną niż przed rewolucją czy w czasie rewolucji. Przywdziało nową maskę. Kilkakrotnie ją zmienił, zawsze jednak będzie naznaczone piętnem swej pozycji klasowej w strukturze społeczeństwa kapitalistycznego. Podobnie drobnomieszczaństwo, choć w zmienionych kostiumach historycznych, kilka razy jeszcze powtórzy tragiczną scenę niezdeterminowania Robespierre’a, gdy zagrożony przez przeciwników, nie wezwie ludu do pomocy i zginie. Zaklęty był dla niego krag kapitalizmu, póki nie zrozumiał wyzwoleniejszej roli klasy robotniczej.

Kto więc był siłą motoryczną rewolucji? Kropotkin ma zapewne rację mówiąc, że większy w rewolucji był wkład mas ludowych niż burżuazji. Zmystyfikowany jednak dźwiękiem pojęcia „lud”, nie dostrzega, że najaktywniejszą była właśnie klasa, zasadająca się na kapitalistycznej własności prywatnej: bo drobnomieszczaństwo oraz wiejski i miejski stan średni. Gdyby przeprowadził precyzyjniejszą analizę procesów społecznych i biorących w nich udział grup społecznych, nie dokonaby przypuszczalnie podobnego przecoenia. Niemniej książka jest rzeczywiście ciekawa, chociażby dlatego, że zwraca uwagę na tę społeczną, ludową stronę rewolucji francuskiej.

Jakub Litwin

JAN SZCZEPAŃSKI

TRUDNE „WPROWADZENIE” *)

Potrzeba popularnego wprowadzenia do zagadnień socjologicznych jest dzisiaj niewątpliwie odczuwana bardzo ostro. Bo przecież socjologia wysuwa się coraz bardziej na czoło zainteresowań naukami humanistycznymi. Wszelkim przemianom społecznym towarzyszy zawsze fala wzmożonej refleksji nad sprawami życia zbiorowego. Nic więc dziwnego, że i dzisiaj w Polsce zainteresowania społeczne wysuwają się na plan pierwszy. Są one kierowane albo chęcią zrozumienia zachodzących przemian, przez znalezienie ich początków w przeszłości i uświadomienie sobie „mechanizmu” dokonywania się procesów społecznych, albo chęcią zdobycia wiedzy o zjawiskach społecznych dla łatwiejszego nimi pokierowania, albo też szukaniem w naukach społecznych potwierdzenia dla pewnych poglądów i dążeń ideologicznych. Niezależnie zresztą od motywów wywołujących, stwierdzamy obecnie w Polsce powszechny pęd do studiów społecznych, a z drugiej strony i dążenie władz szkolnych do kierowania tymi zainteresowaniami. Trudno sobie bowiem wyobrazić uświadomionego obywatela nowoczesnego państwa nie rozporządzającego dostatecznym rozumieniem spraw społecznych. Zarówno dla samouków, laików, jak i dla uczniów szkolnych potrzebna jest więc książka wprowadzająca w naukowe myślenie o zjawiskach społecznych. Równocześnie stwierdzamy, że takiej książki w literaturze polskiej brak, a specjalisci nauk społecznych nie spieszą się z napisaniem takiego wprowadzenia, zdając sobie sprawę z trudności związanych z opracowaniem takiej książki. Są to trudności wynikające ze złożoności samych zjawisk społecznych, uczestnictwa ludzi w tych zjawiskach i zainteresowań praktycznych wszystkich ludzi żyjących w zbiorowościach społecznych — i wreszcie ze stopnia zaawansowania naukowego samej socjologii.

...życie społeczne — pisze autor w przedmowie — jest jednym z tych zjawisk, wobec których umysł ludzki z największą tylko trudnością zdobywa się na przyjęcie rozsądnej i obiektywnej postawy i dopiero bardzo niedawno zajął się nim jako przedmiotem normalnego badania. W książce tej zamierzam wyjaśnić, jak stopniowo precyzowało się i ustalało pojęcie pozytywnej nauki o bycie społecznym (podkr. autora), jakie postulaty ono wysuwa, jakich wymaga metod i jakich hipotez kierowniczych” (str. 16). Odpowiednio do tej zapowiedzi, znajdujemy w książce sześć rozdziałów, w których autor przedstawia: w trzech pierwszych proces powstawania samodzielnej nauki o zjawiskach społecznych, a w drugich trzech postulaty, metody i „hipotezy kierownicze” socjologii.

Czytelnika zaraz na wstępie czeka pewne rozczarowanie. Książka Cuvilliera nie jest wprowadzeniem w problematykę zjawisk społecznych, lecz wprowadzeniem do zagadnień związanych z budowaniem nauki o zjawiskach społecznych. Nie spotykamy w książce opisu faktów zbiorowego współżycia ludzi, lecz tylko i wyłącznie opis powstawania nauki o społeczeństwie i zagadnienia metodologiczne, jakie powstają w związku z budowaniem takiej nauki.

Książka jest więc raczej pracą z zakresu teorii nauk socjologii. Autor omawia w niej różne teorie społeczeństwa, jakie powstawały na drodze od filozofii społecznej, przez historiozofię do socjologii empirycznej. Można tej książce zarzucić — na co zwraca uwagę w przedmowie prof. Chałasiński — że jest zbyt jednostronna, zbyt podległa wpływom przestarzałych poglądów Durkheima i, że nie uwzględniła najnowszych tendencji rozwojowych, jakie przejawiają się w socjologii amerykańskiej. Informuje ona tylko o stanie badań nad metodologią socjologii do pewnego punktu czasowego, kiedy socjologia francuska wytwarzała przodujące poglądy w tym zakresie, tzn. do początków dwudziestolecia międzywojennego.

Tytuł książki może więc wywoływać nieporozumienia. Czytelnik spodziewa się wprowadzenia w zagadnienia życia społecznego, znajduje natomiast zagadnienia metodologii i historii nauki o tych zagadnieniach. Dlatego słusznie podkreśla prof. Chałasiński w przedmowie, że książka Cuvilliera może być używana jako podręcznik uniwersytecki „w oparciu o lekturę i kierownictwo pedagogiczne”, które mogą uzupełnić jej jednostronność i wskazać czytelnikowi właściwe miejsce jej treści w ramach socjologii.

W swoim zakresie informowania o rozwoju socjologii, jej różnych kierunkach, wynikających z różnych sposobów pojmowania zjawisk społecznych i zadań nauki w stosunku do nich, książka Cuvilliera spełnia swoje zadanie zupełnie zadawalająco. Nie spełnia natomiast zupełnie zadania wprowadzenia do zagadnień empirycznych. Nie znajdzie więc tu czytelnik ani wprowadzenia do systemu pojęć, którymi się socjologia posługuje, ani systematycznego przeglądu typów zbiorowości społecznych czy charakterystyki podstawowych procesów życia społecznego. Takie wprowadzenie czeka jeszcze na napisanie.

Jan Szczepański

*) Armand Cuvillier: Wprowadzenie do socjologii. Przełożył Dr T. Zebrowski. Książka 1947. Str. 203. Przedmowę napisał Józef Chałasiński.

„OWCZE ŹRÓDŁO” LOPE DE VEGI W TEATRZE im. SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE

JUBILEUSZ DYR. A. SZYFMANA



Jerzy Leszczyński w roli Komandora w „Owczym Źródle” Lope de Vegi.



Scena zbiorowa z III aktu „Owczego Źródła”



Arnold Szyfman, dyr. Teatru Polskiego obchodził w dniu 10 lipca 1948 r. jubileusz pracy organizacyjnej w teatrach.

STEFAN FLUKOWSKI

Z TEATRÓW KRAKOWSKICH

Tak się złożyło, że mam pisać o krakowskich teatrach pod sam koniec sezonu, kiedy właściwie wszystko co się miało stać, czy złe czy dobre już się stało i nie masz odwrotu sprzed sądu historii. Oficjalnie temu sądowi historii scen krakowskich usiłowano nawet dopomóc: uroczystie została wręczona nagroda wojewódzka dyr. Dąbrowskiemu za jego pierwszy rok dyrektury. Prasa dalej „niema słów”, Kraków rozjeżdża się na dobrze zasłużone wczasy w poczuciu, że w ubiegłym sezonie stało się coś na miarę Paryża. Jouve podobno się załamał zobaczywszy „Owce Źródła”. Oświadczył tylko, że on by się nie odważył na coś podobnego, a Komedie Francuskiej po prostu nie stać było na taką „richesse polonaise”. I kazał odśpiewać swojej wedecce Blanchard „Marsz, marsz Dąbrowski...”, co rzeczona uroczystość wykonała swoim równie uroczym głosikiem. Pozostali tylko ojcowie miasta, właściciele teatrów, autorzy i stróż miejscy budżetu oraz ci, którzy widzieli na świecie to i owo, a przede wszystkim dobre teatry, i mają jeśli nie świadomość, to poczucie co to jest dobra gra, inteligentny i dyskretny reżyser, prostota dekoracji, atmosfera widowiska. Kończy się sezon ale pozostały troski i zawody, które, jak każdemu doświadczonego człowiekowi wiadomo, są ziarnem pod przyszłe, lepsze życie. Ale tylko wtedy jeśli mieszkańcy „Owczego Źródła” zdobędą się na męską i kobiecą decyzję otwartego buntu. A o to nie jest tutaj tak łatwo.

Jeszcze wojna trwała w pełni na ziemiach polskich, bronili się Niemcy w Poznaniu, zdobywano Gdańsk, gdy teatry w szczególności ocalałym Krakowie rozpoczęły swoją działalność. Ośrodki krakowskie stanęły natychmiast do ożywionej pracy i przez przeciąg tych trzech i pół sezonów wzmagali tempo. Trzeba przyznać, że nie zawodziła nigdy publiczność, jeśli jej tylko, dla tych czy innych względów, nie zrażono do wystawianej sztuki. Zmniejszyła się co prawda liczba teatrów w Krakowie w ciągu tego okresu, ale też te które pozostały niewątpliwie usprawniły swój aparat administracyjno-organizacyjny i ulepszyły warunki pracy artystycznej i scenicznej dla zespołów. Teatry krakowskie bowiem wyżyły z wojny zniszczone wbrew pozorom jakby można wysnuć biorąc pod uwagę, że samo miasto pozostało nietknięte. Przy odbudowie i usprawnieniu administracyjno-organizacyjnym scen krakowskich Zarząd Miejski poniósł wiele zasług wykazując zrozumienie zasadniczych problemów, które należały do rządu t. zw. pałających. Nie żałował pieniędzy na inwestycje rzeczowe, szukał w tym względzie rozwiązań najlogiczniejszych. Podobnie teatr TUR-u po dwóch sezonach dość opłakane gospodarstwo w ostatnim sezonie wykazał się sprężystą administracją i zmysłem rozsądnej akcji reklamowej oraz organizacji widowisk. Cztery więc główne sceny krakowskie osiągnęły w bieżącym sezonie niewątpliwie maksimum efektu w tym zakresie. Przeszły też przez nie duże rzesze publiczności, być może większe aniżeli w poprzednich sezonach. Organizacja widowisk działała na szerszą skalę. Jest to niewątpliwie zdobycz tych trzech sezonów powojennych. Jeśli chodzi o widowiskowość ona w tym czasie częściowo swoje oblicze. Stała się obrazem nowej rzeczywistości powojennej i jej zmienionych warunków społecznych.

Czy w związku z tym nadała i artystyczna strona prac krakowskich teatrów? I jak wyglądała? Czym charakterystycznym zaznaczył się repertuar? Gdzie i jakie były świadome tendencje reformatorskie realizacji scenicznych poszczególnych utworów? A jeśli tak, czy się to udało? A może nie? A może i tak i nie? Jakimi zespołami rozporządzały sceny krakowskie? Jacy się tam przewinęli reżyserzy i co im się udało zrobić? Masę takich pytań cisnie się na usta i w miarę jak je stawiamy „bieleje włos”. A jest tych pytań jeszcze więcej i to bardzo ciekawych. Ale wobec takiej mnogości trzeba będzie odpowiedzieć tylko na najważniejsze. I to takie, które się wiążą z ogólnym życiem teatrów w Polsce i polityką kulturalną państwa w tym zakresie. Żeby też uzyskać perspektywę do oceny ostatniego sezonu warto się przywrzeć i poprzednim, kiedy to Kraków był najpotężniejszym środowiskiem kulturalnym po wojnie, skupiając moc uchodźców i instytucji w swych murach. Dlatego też poprzednie dwa

i pół sezonu nosi na sobie piętno owego niezwykłego ożywienia życia kulturalnego, które powoli rozplynęło się i wyciekło na całą Polskę a głównie do Warszawy. Obecnie Kraków „wraca do normy”, co zresztą nie jest powodem do radości. Można by nawet powiedzieć, że jeśli chodzi o kulturalne życie Krakowa, to powróciło już ono do przedwojennej normy.

Ale dwa pierwsze lata powojenne były nieco inne. I kiedy dyrektor Frycz prowadził przez półtora sezonu Teatr im. Słowackiego, Kraków rościł się od nazwisk z całej Polski. Repertuar tych sezonów był repertuarem improwizowanym i specjalnego wysiłku w artystyczną stronę widowisk nie wkładano. Grano, a publiczność znakomita kilkoletnim brakiem własnego teatru, waliła tłumnie, nagradzając wszystko niekłamnym entuzjazmem. Królował Fredro, Zapolska, czasem Słowacki, ograne rzeczy z repertuaru zagranicznego. Sukcesem artystycznym był „Świętoszek” mlirowski z Szubertem w roli głównej, w re-

żyserii Frycza i jego oprawie scenicznej oraz „Mieszczanie” Gorkiego w reż. Chaberskiego. Współczesny repertuar polski nie miał szczęścia do tej dyrekcyj, ostrożnej i raczej nieorientującej się we współczesnej młodej polskiej literaturze dramatycznej. Wystawiono zaledwie Karłowickiej „Przejrzały oczy nasze”, „Zamach” Brezy i Dygata oraz „Portret generała” Wirskiego. A tymczasem napisana w ciągu kilku lat ostatnich twórczość dramatyczna polska czekała swej realizacji na scenie.

„Stary teatr” początkowo pod dyktando Romana Bujańskiego i Andrzeja Pronaszkę, potem już tylko pod kierunkiem tego ostatniego, otworzył sezon po wyjeździe Niemców „Mężem doskonałym” Zawieyskiego, a więc sztuką współczesnego autora polskiego. Potem poszedł „Masław” tegoż autora, „Jajko Kolumba” Flukowskiego, „Droga do świtu” Pełpłowskiego. Też niewiele, jeśli się weźmie pod uwagę okres półtora sezonu i dwie sceny na których grano. Za to repertuar zagraniczny był dość interesujący: „Cyd”, „Nieboszczyk

pan Pic” Chapuis de Peyret ze znakomitą Dulebą, „Pasażer bez bagażu” Anouilha, „Pigmalion” Shawa, „Król wiończogów”.

Obie dyrekcje nie zadawałyby czynników miejskich podobnie jak i Związku Zawodowego Literatów w Krakowie, który stał na stanowisku uwzględnienia w szerszym zakresie współczesnego repertuaru polskiego, czekającego w maszynopisach laskawiej dla siebie godziny. Stawiano słuszną tezę, że nie może być mowy o podniesieniu poziomu dramaturgii w Polsce bez grania autorów polskich sztuk, gdyż jest to jedyna droga do poznania własnych błędów i ulepszenia tego, co wydaje się być z punktu widzenia roboty dramaturgicznej dobre. Zarząd Miejski poszedł na tę koncepcję, biorąc jednocześnie pod swoją bezpośrednią opiekę obok Teatru im. Słowackiego i obok sceny Teatru Starego. Naczelnym dyrektorem został Juliusz Osterwa, w Starym Teatrze dyrektorem objął Władysław Woźnik. Nastąpił podział repertuaru: Teatr Słowackiego miał grać tylko klasyczny repertuar polski, w ten sposób obejmując niejako funkcję nieistniejącego Teatru Narodowego w Warszawie. „Teatr Stary” natomiast miał być poświęcony współczesnemu repertuarowi polskiemu, którego wiele dzieł, rzekomo znakomych a nieuczynanych dotąd, miało zalegać po biurkach pisarzy i Zaksach. W tym zakresie Osterwa, pomny swojej planerskiej roli w „Reducie”, gdzie tak pielęgnował polską twórczość z Zeromskim i Szaniawskim na czele, poszedł całkowicie na propozycję Związku Literatów, dając swobodę Staremu Teatrowi w wyborze repertuaru i jego realizacji.

Sezon ten Osterwie się nie udało. Trawiony chorobą, nie był w stanie dopilnować należyte prac Teatru im. Słowackiego. Jako dyrektor teatrów krakowskich po raz drugi, spotkał się z podobną nieuczynnością prasy jak przed laty. Nie ukończywszy sezonu, w maju zmarł po paromiesięcznym nieopuszczeniu łóżka. Eksperyment podjęty ze współczesnym repertuarem polskim na obu scenach Starego Teatru rozwijał się niemal poza sferą działalności Osterwy i nie udało się. Złożyło się na to parę czynników: nierówna wartość sceniczna wystawionych utworów, brak dostatecznej opieki ze strony kierownictwa teatru, brak nowoczesnej i energicznej reżyserii, złośliwość i oziębłość prasy.

Wystawiono następujące sztuki polskich autorów: Swirszczyńskiej „Orfeusza” w znakomitej reżyserii Wiercińskiego, Odnowskiego „Wielkanoc”, Flukowskiego „Odyssu w Feaków”, Zawieyskiego „Rozdroże miłości”, „Komedianta” Bodnickiego w pięknych dekoracjach i kostiumach Frycza oraz „Edukację Klary” Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej. Trzy z tych sztuk były prapremierami (Flukowskiego, Zawieyskiego i Bodnickiego). Jednocześnie na zbyt małej scenie Teatru TUR-u została wystawiona inna sztuka Flukowskiego „Soczewica koło miele młyn”. Jeśli dodamy do tego wystawione w poprzednim 1945/46 sezonie przez Adwentowicza „Dwa Teatry” Szaniawskiego (prapremiera), będziemy mieli pełny obraz wysiłku i ryzyka, jakie włożyły teatry krakowskie mimo wszystko w papierianym rodzimym repertuaru. Oczywiście polskich sztuk współczesnych wystawiono o wiele więcej — Cwojdzńskiego, Iwaszkiewicza itp. — ale to były przedwojenne wznowienia.

Z tych bogatych doświadczeń z polskim repertuarem współczesnym godzi się wysnuć zasadniczy wniosek: sztuki nowszych autorów wymagają szczególnej pieczołowitości ze strony teatru, dobrze zorganizowanego i artystycznie stawiającego sobie wysokie wymagania. Bez tego wysiłek autorów i ich możliwości dramaturgiczne niewiele pomogą.

Godzi się jeszcze wspomnieć na zakończenie przegląd teatrów krakowskich za pierwsze dwa i pół sezonu piękny wysiłek repertuarowy i realizatorski teatru Kameralnego TUR-u który w sezonie 1946/7 pracując pod dyktando Emila Chaberskiego wystawił dwie główne w Polsce prapremiery: „Miasto w dolinie” Priestleya i „Wariatkę z Chaillot” Giraudoux z Dulebiną w roli głównej, obie sztuki w reżyserii Chaberskiego.

Omówienie powyższe dotyczy głównych scen krakowskich i śiega po moment objęcia dyktando przez Bronisława Dąbrowskiego z Katowic. Jego sezon będzie stanowił osobny rozdział naszych rozważań jako rzecz aktualna, bieżąca.

Stefan Flukowski

Po festiwalu teatrów świetlicowych

Finałowe eliminacje w ogólnopolskim konkursie świetlicowych zespołów teatralnych mamy już za sobą. Mając też za sobą polemikę, która rozwinęła się już w czasie eliminacyjnej wojewódzkiej w sprawie repertuaru świetlicowego, możemy obecnie konfrontować głosną dyskusję z ostatecznymi doświadczeniami praktycznymi. Próbuje uczynić to Jaszcz w art. „Wielki, mały, czy średni repertuar” („Głos Ludu” Nr. 180 z dn. 2.7. 1948) pisząc:

„W teatrach świetlicowych wyróżnić można trzy typy przedstawień, trzy typy widowisk: normalne przedstawienia sztuk teatralnych, względnie ich nieznacznych adaptacji świetlicowych, montaż sceniczny najrozmaitszego rodzaju i wyrazu i wreszcie inscenizacje wierszy, poematów, fragmentów prozy, tekstów historycznych itp.

Możemy, dla uproszczenia, nazwać owe trzy rodzaje repertuaru świetlicowego wielkim, średnim i małym repertuarem”.

Jaszcz stwierdza, że w teatrze „prawdziwym”, który określa jako „wielki repertuar”, „wiele pułapek i wilczych dołów, wiele rozczarowań i nienaprawialnych zawodów czyha na świetliczan”.

„Ogrom pracy, dobrej woli i wysiłków, włożonych w pokonywanie przeszkód, piętrzących się nieustannie i raz po raz ciężarem swoim przyniatających wykonawców, nie stoi tu w żadnej rozsądnej proporcji do uzyskanych rezultatów...”

„Co innego ów repertuar, który nazwałem średnim i małym. Pozwól sobie być innego zdania niż różni uczeni w piśmie, i oświadczyć, że — zdaniem moim — montaż i specjalne inscenizacje są najlepszą, wprost wymarzoną formą dla świetlicowego teatru. Przeważającą większość pokazanych na eliminacjach montażów, (a więc nie tylko finałowe „Manifesty” i „Pochód”), są przykładem wybornych osiągnięć, uzyskanych przez świetlice w tym rodzaju teatru, który nigdy nie stanie się domeną teatru zawodowego, a który najlepiej spełnia zadania ideowe - wychowawcze.

A wybór, jeśli o montaż i inscenizację chodzi, jest bardzo już obfity, od zbiorowej recytacji do wykonania oryginalnych jednoaktówek świetlicowych. Nawet w rozłożeniu na głosy ilustrowane muzycznie fragmentów poetyckich można wykazać wiele inwencji i osiągnięć, wybitne artystyczne i wychowawcze wyniki — dowodem „Komuna Paryska” Broniewskiego w wykonaniu łódzkich techników, albo „Na piastowski Śląsk”, górnicza recytacja wiersza Konopnickiej. Ogromne, bodajże największe rezultaty można uzyskać w inscenizacji montażów, byle zestawione były z nerwem dramatycznym i bez pewnych namiętnych pseudo-propagandowych. Takie właśnie są, głownie, montaż „Manifestów”, „Pochód”, „Tramwajarz warszawski w 1905 r.”, „Walka o nowego człowieka”, „Kolejarz w walce i odbudowie”. „Wykonanie ich powinno być ambicją wielu zespołów świetlicowych”.

Wydaje nam się, że tak ujęte stanowisko wobec średniego i małego repertuaru świetlicowego jest słuszne. Jeśli pisano w „Kuźnicy” o montażach i inscenizacjach jako „o czymś, co jest ziem koniecznym” (S. Pollak — „Kuź-

nica” Nr 24), to chyba tylko dlatego, że jak słusznie pisze również nieco dalej tenże Jaszcz, „opracowanie dobrego montażu jest sprawą trudną” — a zatem droga, podobnie jak ta, którą nazywa on „wielkim repertuarem”, grożąca wielu niepowodzeniami, które trzeba pokonać. Nie o to jednak chodziło publiczności „Kuźnicy”, występującym przeciwko grafomanii w świetlicach. Ci, którzy, jak Jaszcz, oglądali finały eliminacji świetlicowych, nie widzieli tych sztuczności, które oglądali biorący udział w pracach przygotowawczych, bo sztuczność te w eliminacji odpady.

Jako uczestnik dyskusji zapewnić pragnę Jaszcz, że pisząc o tekstach literackich, myślałem właśnie o utworach takich, jak „Komuna Paryska” Broniewskiego, czy „Walka o nowego człowieka”, będących montażem literackich tekstów (Sienkiewicz, Kruczkowski, Gil). Nie przeciwko montażom i inscenizacjom były wymierzone ataki w dyskusji o teatrach świetlicowych na łamach „Kuźnicy”, ale przeciwko złym tekstom, preparowanym ad hoc, zamiast sięgnięcia do zasobu literatury po to, by zeń wydobyć materiał właśnie dla montażu i inscenizacji. Po to, aby znaleźć właśnie Eroniewskiego, czy choćby — w braku nowych pozycji — Konopnicką.

Słusznie przestrzega Jerzy Borejsza („Na udeptaną ziemię” — „Odrodzenie” Nr. 27 z 4.7. 1948) przed sporami, z których „raz po raz wychyla głowę obawa przed rzekomym obniżeniem kultury”, w których „tkwi błędna, wsteczna i szkodliwa teoria, że oddziaływanie kultury odbywa się jednostronnie, jednokierunkowo: z góry w dół”. Słusznie cytuje zdanie prof. Chałasińskiego, że „proces demokratyzacji polega nie tylko na tym, że wzory kulturowe klas wyższych przenikają do klas niższych, lecz także na tym, że wzory kulturowe tzw. klas niższych przenikają do klas tzw. wyższych i nabierają charakteru obowiązującego dla całego społeczeństwa”.

Myślę, że nie liczenie się z całkowicie odrębnym, nowym, twórczym charakterem teatru masowego, jakiego zarysów powstają niewątpliwie również i w postaci teatrów świetlicowych — byłoby istotnie szkodliwe i wsteczne. Chodzi tylko, o to, co jest ową „treścią oddolną”, owym zdrowym ziarnem kultury „klas niższych”, a co zwykła drobnomieszczańska plewa. Jeśli chodzi o repertuar teatrów zawodowych, ciekawe uwagi na ten temat czytaliśmy w drukowanym niedawno przez nas artykule W. Sokorskiego p.t. „Teatr i widz”. Jeśli chodzi o montaż i inscenizację, to pozostało zapytać, czy inscenizacja fragmentów niezwykłego życiorysu Lucjana Rudnickiego lub wprowadzenie na scenę obrazów z „Mystkowie” Gałaja — przeczy tezie, że tworzyłem przeróbek teatralnych w świetlicach winna być prawdziwa, dobra literatura?

Ale najlepsza, „oddolna”, młoda i świeża literatura może zabić sztywnymi formułkami klecionymi na biurku instrukcji. Stosując się do nich nieudolnie wykonawcy wprowadzają zamiast żywej sztuki — martwą scenicznie frazeologię polityczną. Przed tym przestrzegano. Z tym walczone. To wszystko.

r. m.

JEAN KANAPA

W Ameryce są dwie literatury

tłum. Mariusz Margal

Jeszcze w sprawie literatury amerykańskiej

Do redakcji „Kuźnicy”.

KIEDY MÓWIMY o kulturalnym imperializmie amerykańskim i demaskujemy go z gwałtownością, która wynika z patriotyzmu a nie ze stronnictwa, niektórzy udają zdziwienie, aby się potem burzyć i napaść na nas, jak to jest u nich w zwyczaju. Z wściekłością ogłaszają, że to kłamstwo, skoro są sami kłamcami.

Bo w końcu, jeżeli sygnalizujemy niebezpieczeństwo, które przyczynia się do zalewu naszej niepodległości kulturalnej przez pewien odłam literatury amerykańskiej, przez pewną formę amerykańskiej kultury, które są środkami wyraźnej ofensywy intelektualnej prowadzonej przez reakcję amerykańską, to nie potępiamy tym samym całej literatury amerykańskiej, **wszystkich** tendencji i form kulturalnych, które istnieją w Stanach Zjednoczonych. Nie mylimy nigdy postępowej kultury amerykańskiej z amerykańską dekadencją produkowaną przez Howarda Fausta z Henrykiem Millerem, Jeffersonem School¹⁾ w Nowym Yorku z „Readers Digest”.

Choć usiłuje się nam to wmówić z uporem, nie utożsamiamy bezmyślnie Henryka Millera, Rity Hayworth i filmowych lub literackich pin-up z Ameryką. Nie obmawiamy systematycznie wszystkiego, co amerykańskie. Nie przeciwstawiamy mechanicznie wytworów kultury sowieckiej kulturze amerykańskiej, wychwalając z zamkniętymi oczami jedne i ośmieszając bez jakiegokolwiek różnic drugie. Nie, dobrzy apostołowie przemysłowego zagmatwania! Nasze sądy nie mają geograficznych kryteriów! I my umiemy chwalić to, co jest w Ameryce uczciwe (po prostu uczciwe, powiadamy, a nie nawet „postępowe” lub „lewicowe”), bo wszystkie uczciwe umysły świata znajdują się w tym samym obozie. W obozie bez granic terytorialnych, który w swym zespoleniu intelektualnym silnie i skutecznie stawia opór pustce.

My nie czynimy rozróznienia między Ameryką a Rosją i nie chcemy jednej przeciwko drugiej. Ale my szukamy w Ameryce i w całym świecie ludzi uczciwych przeciw umysłom zaśniedziałym, marynarzy z „Henry Gilbert-Costin”, którzy solidaryzowali się ze strajkującymi w Marsylii przeciw reakcyjnemu przewodniemu AFL (American Federation of Labour), lincowanych przeciw lincozującemu, Wallace’a przeciw Trumanowi, narodu amerykańskiego przeciw wrogom narodu amerykańskiego.

Dlaczego? Bo my szukamy także narodu francuskiego przeciw wrogom narodu francuskiego, a jakby przypadkowo wrogowie narodu amerykańskiego są równocześnie wrogami narodu francuskiego. Niejaki Irving Brown, który przybył do Paryża z zamiarem rozbicia jedności robotników francuskich i z oficjalnym milionem dolarów jest tego dowodem uosobionym.

Obydwaj, Truman i Wallace, są z urodzenia Amerykanami. Czy jesteśmy „antyamerykanami”, gdy stwierdzamy, że pan Truman nie ma w sobie nic z Amerykanina oprócz portfela, a przykładujemy panu Wallace’owi jako kontynuującemu prawdziwą tradycję amerykańskiej demokracji? Czy byliśmy „antyfrancuzami”, gdyśmy ogłaszali Petain’a zdrajcą Francji? Gdzie była wtedy Francja — w hotelu, w parku Vichy, czy w szeregach maquis? Gdzie jest dzisiaj Ameryka — w portfelach amerykańskich senatorów, antysemitów, antymurzynów, antyrobotników, czy w pochodach amerykańskich robotników strajkujących przeciw tyranizującym patronom?

Nie trzeba subtelnej dialektyki, by stwierdzić, że z tych właśnie przyczyn jest zupełnie uzasadniony wybór Howarda Fausta przeciw H. Millerowi, Charlie Chaplina przeciw panom Goldwyn-Mayer, „Mainstream”²⁾ przeciw „Readers Digest”. Na papierze oby-

dwaj, Miller i Fast, są Amerykanami. Jeżeli jednak stwierdzimy, że dzieło Millera jest dość zaawansowanym produktem kulturalnego rozpadu wstępnego mieszczaństwa amerykańskiego (mniej o to, czy taki mieszczański pisze to w San Francisco czy w Paryżu, bo nie w tym sedno zagadnienia), i że jest wprowadzane do Francji w celach reakcyjnych, skoro — przeciwnie — podziwiamy talent i pełność Fausta, którego publikują jedynie nieliczni uczeni francuscy wydawcy wbrew ogólnej kampanii milczenia, to ktoż ośmieli się w złej woli stwierdzić, że jesteśmy mechanicznie i ślepo „antyamerykańscy”? Gdzie jest Ameryka: w budzących wstręt opisach orgii lub oddawania kału czy też w radości i wysiłku, w sukcesach i kłękach, w walce amerykańskich demokratów, których Fast uczynił swoimi bohaterami?

Bądźmy szczerzy, obłudni adwokaci hollywoodzkiej Ameryki! Jeżeli bronicie tego tak bardzo, to znaczy, że prawdziwego obrazu Francji nie widzicie w poematach Guillelca³⁾, ale w wypocinach takiego Drieu la Rochelle, co zresztą wyznajecie od czasu do czasu. Cóż, w takim razie wy odwracacie słusność.

W rzeczywistości. Jeżeli bowiem zbadamy zagadnienie z całą powagą, to wtedy ci właśnie adwokaci o nosowych głosach będą oskarżonymi. Bo w gruncie rzeczy jest w tym wszystkim coś śmiesznego. Wobec tego, że my wolimy — i nie ukrywamy się z tym — to, co jest zdrowe i uczciwe w amerykańskiej literaturze od tego, co w niej schorzałe i oszukańcze, nazywają nas „antyamerykanami” i nie jest przypadkiem, że tę samą etykietę przyklepia się postępowcom amerykańskim.

I czy nie jest znamienne, że pan Gallimard⁴⁾ za pośrednictwem swego amerykańskiego przedstawiciela, Coindreau, stawia Francję przed jedną tylko częścią literatury amerykańskiej, importując systematycznie Hemmingwaya, Faulknera, Gerturde Stein, Caldwell i (raczej rzadko) Steinbecka, starannie i przy użyciu nieuczciwych często środków dbając o utrzymanie ignorancji publiczności francuskiej wobec dzieł Fausta, Malta, Sillena, Langstona, Hughes’a? Czy nie jest charakterystyczny dobór grupy wydawców NRF⁵⁾, która udaje się na poszukiwania wszystkich autorów amerykańskich, nieznanych nieraz nawet w samej Ameryce, jeżeli tylko mogli służyć celom reakcyjnej ideologii we Francji?

Oczywiście, że pan Ford nie zatelefonował pewnego dnia do pana Gallimarda, by mu powiedzieć: „Proszę rozpoznać u was dzieła naszych pisarzy pornograficznych i mistycznych i to szybko! Dostanie pan tyle i tyle dolarów, jeżeli będzie to dokonane jak się należy”. To by się nawet nie opłacało. Reakcyjni wydawcy francuscy sami, z własnej woli szukają w Ameryce autorów, którzy mogliby służyć ich przedsięwzięciu literackiego oszustwa. Nie trzeba im dawać zaleceń. Oni są już dość rozzamięsani, żeby odróżnić, co trzeba natychmiast sprowadzić, a co pozostawić w cieniu. Malraux miał dosyć spontanicznego i osobistego wachu reakcyjnego, wydając „Sanktuarium odkryć” Faulknera i czyniąc z nieznanego pisarza w Ameryce wielkiego pisarza we Francji. Albowiem wrogowie ludu amerykańskiego są z natury rzeczy wrogami ludu francuskiego, a wrogowie postępu kulturalnego w Ameryce są jednocześnie wrogami postępu kulturalnego we Francji.

Na domiar złego p. Lovett oświadczył z cynizmem, że Stany Zjednoczone zajmą się bezpośrednio rozpowszechnianiem tego rodzaju dzieł swojej literatury, że to, co dotychczas było podstępna infiltracja stanie się masową inwazją. Nie ludźmy się! Intelektualiści francuskiej reakcji z przyjemnością przyłożą do tego rękę i Denis de Rougemont znajdzie eleganckie argumenty na usprawiedliwienie tego faktu. On i jemu podobni potrafiliby doskonale zrozumieć, że zasadniczym środkiem ofensywy reakcyjnej jest uspienie świadomości i zwrócenie jej na drogę ucieczki — seksualnej, egzotyycznej, mistycznej i wszelkich podobnych rodzajów.

We Francji adwokaci zgniej literatury amerykańskiej nabierają szerokiego oddechu i mówią: „Ależ proszę! Przecież „Tropiques” Millera wydano w Paryżu, choć zabronione są w Ameryce! Sukces tej książki nie jest więc dziełem amerykańskich wydawców!” Dziękuję, panowie, za ten dodatkowy argument. My właśnie nie innego nie twierdzimy: wydawcy francuscy są dostatecznie chytry, by wybrać to, co im odpowiada, tj. to, co odpowiada przedsięwzięciu mistyfikacji i ogłupiania prowadzonemu przez klasę, której są członkami „oświeconymi”. Miller jest zabroniony w USA? Wspaniale! On jest przeznaczony dla konsumpcji zewnętrznej. Jak bomba atomowa. Artykuł eksportowy. W USA Miller nie jest potrzebny, nie wzruszy „wielkiej” publiczności, tam więc nie znaczą opowieści o szpiegostwie sowieckim i romanse erotyczne bez metafizycznej pretensji. Ale we Francji Miller jest dobrym interesem. Popiera tę chorą literaturę, którą reakcja francuska uważa za najlepszy środek nasenny dla francuskiej inteligencji. Wzmacnia literaturę beznadziejności i wyrzeczania się, wzmacnia rozwydrzenie seksualne w słowie. Erotyzm? Zgoda. Metafizyka? Zgoda. Metafizyka erotyczna z kolei to już coś wspaniałego! Wspaniale odwró-

cenie czytelnika od akcji konkretnej i postępowej. Wspaniale szczególnie wtedy, gdy daje ujście dyskretnym apelom do mistycyzmu samotności.

W tej mierze — podtrzymujemy to przeciw wszystkim ironiom — sprzedaż we Francji dzieł Millera służy imperializmowi amerykańskiemu.

Obrońcy literatury amerykańskiego zepsucia mówią: „Ależ proszę, dzieła Caldwell czy Hemmingwaya, nawet Faulknera, są postępowe i nawet rewolucyjne dzięki temu, że opisują zepsucie kapitalistycznego społeczeństwa amerykańskiego, dzięki temu, że są „czarne”!” Ale my znamy te wybiegi. To, co może uchodzić za rewolucyjne w Ameryce nie musi być takim we Francji. Wziąwszy pod uwagę różnice warunków ekonomiczno-społecznych to, co jest rewolucyjne w Ameryce z pewnością nie jest takie we Francji! Myśmy też w pewnym czasie otwierali rany kapitalistycznego społeczeństwa francuskiego, myśmy też w pewnym czasie byli rewolucyjnymi krytykami — dziś jesteśmy rewolucjonistami konstruktywnymi, beznadziejność nie służy nam na nic. Wprost przeciwnie: ona nam szkodzi — i to reakcja stara się rzucić ją pod nogi ludu, by zatrzymać jego marsz ku demokracji.

Ci pisarze grają być może pożyteczną rolę w negatywnej krytyce Stanów Zjednoczonych, we Francji jednak rola ich jest ujemna, szkodliwa dla akcji demokratycznej, która domaga się przede wszystkim nadziei i podania pozytywnych przyczyn walki. Reakcja francuska dobrze wie, kto nam chce to zabrać, by z nas uczynić bezwolnych kompanów na swej własnej drodze.

A wreszcie — czy ci pisarze są rzeczywistymi rewolucyjnymi w samej Ameryce? Zaprawdę, nasi francuscy adwokaci liczą tu na nieświadomość francuskiej publiczności. Bo w rzeczy samej nigdy pisarze postępowi, to znaczy tacy, którzy w swoich dziełach i czynach ramie w ramie walczą z amerykańskim robotnikiem, nie dali tamtych praw występowań w imieniu ludu amerykańskiego. A trzeba przyznać, że do sądenia rewolucyjnej wartości człowieka i dzieła mają oni większe prawo od naszych wielkomyślnych intelektualistów. Naród amerykański i naród francuski muszą tworzyć dziś inną literaturę niż ta, która rozpowszechnia zepsucie i beznadziejność. Jej przedstawicielami mają być Fast i Sillen, a nie Caldwell i Faulkner. Ale panowie Gallimard et consortes zdecydowali inaczej.

Po prawdzie całe tomy należałoby napisać dla przedstawienia obrazu kierownictwa reakcji w literaturze, gdy chodzi o rozpowszechnianie dzieł kultury amerykańskiej we Francji! Mieszkański wydawca francuski w poszukiwaniu „Sensacyjnych dokumentów” drukuje nieprzerwanie — ma papieru tyle, ile tylko zażąda — kłamliwe pamiętniki Byrnese’a, rewelacje Krawczyki, kulisy jakichś historii odsłonięte przez ciemnych funkcjonariuszy Departamentu Stanu. Ale jaki wydawca opublikował kiedykolwiek naprawdę sensacyjne pamiętniki W. Z. Fostera „Kartki z życia robotnika”? Pomyślcie też: z takim tytułem! Któż nie potrafi wyciągnąć wniosków ze spisku milczenia, jaki zorganizowała prawnicowa krytyka wobec „Wielkiej konspiracji przeciw ZSRR”, sprzedanej mimo to w USA w milionach egzemplarzy?

Co więcej: powstaje we Francji dziwna ciżba wokół pisarzy zwanych „realistami”, nawet gdy im daleko, by być „czerwonymi”. Kto mówi o Dreiserze, który był prawdziwym pionierem powieści amerykańskiej, o Uptonie Sinclairze lub Sinclairze Lewis? Kto mówi o Whitmanie? Natomiast pisze się nieprzytomne artykuły o K. Patchen, Millerze, poezji, pogrążając w niepamięć Karola Sandburga. To są systematyczne zabójstwa literackie.

Przykłady, przykłady, możnaby je podawać setkami. „Les Temps Modernes”, miesięcznik panów Gallimarda, Paulhana i egzystencjalistów, poświęcił jeden ze swych numerów Ameryce. Czy znajdzie się w tym numerze choćby jeden tekst postępowego pisarza amerykańskiego? Wyłącznie teksty reakcjonistów, t. zw. „rewolucjonistów”. A u kogo zamawia się studium o sztuce amerykańskiej XX wieku? U Klemensa Greenberga, wiernego współpracownika agresywnie faszystowskiego „Partisan Review”.

W taki sposób francuscy reakcyjni wydawcy i krytycy, którzy chodzą ich śladami, wyrabiają fałszywy obraz współczesnej literatury amerykańskiej. Gdy my znajdujemy w amerykańskiej literaturze to, co wypływa z demokratycznych tradycji kulturalnych USA, oni wyszukują dzieła niezdrowe i kłamliwe, niską produkcję kupiecką i ogłupiającą wulgarność.

I wreszcie jest szczytem kłamstwa i hipokryzji, gdy nasi „wielcy” intelektualiści krzyczą: „Wszystko to bardzo pięknie i my się z wami zgadzamy, ale pod warunkiem jednym. Stwierdźcie musicie, że kultura amerykańska, nawet ta rozpowszechniana przez „Digest”, równa się mimo wszystko kulturze radzieckiej. I jaka atmosfera wolności panuje w kulturalnych stosunkach w USA, a jak wielki jest terror w ZSRR!”

To jest jednak dziwne: ilekroć wyrażamy nasze obawy wobec zamiarów zduszenia kultury francuskiej przez amerykańską, zaczynają nam mówić o Rosji. To już jest automatyczne. Skoro tylko wypowiadamy naszą wolę obrony niezależności naszego kraju w jakiegokolwiek dziedzinie, zaraz się znajdują ci, którzy czynią wrzawę na temat ZSRR. Czyżby ich żenowała rozmowa o Francji? Gdy

W związku z drukowanymi ostatnio w „Kuźnicy” artykułami o literaturze amerykańskiej (dwa artykuły K. Brandysa i jeden mój — w Nr 15, 17 i 20) uprzejmie proszę o umieszczenie kilku słów na ten temat.

Mało kto u nas zna gruntownie nową literaturę amerykańską, w oryginale lub w tłumaczeniach na języki obce. Mamy artykuły krytyczne i polemiczne, ale prawie wcale niema przekładów na język polski. Utwory najwybitniejszych pisarzy Stanów Zjednoczonych dawno zostały przetłumaczone w ZSRR, we Francji i innych krajach Europy. Tam analizuje się ich twórczość na podstawie obszernego materiału, ustala się jej genezę, omawia się jej oddziaływanie na literaturę europejską, i wszystko to przy szerokim udziale opinii publicznej. Do nas dochodzą tylko odgłosy tych dyskusji.

Tak długo, jak na naszym rynku księgarskim nie będzie przekładów chociażby najcenniejszych pozycji nowej literatury amerykańskiej, wszelkie dyskusje o jej walorach artystycznych lub o tym, czy są postępowi jej poszczególni autorzy, z natury rzeczy będą sprowadzać się do jałowych sporów w kółku mniej lub bardziej wtajemniczonych. Jedni, jak K. Brandys, mogą sto razy powtórzyć, że nie smakuje im współczesna proza amerykańska, inni znowu sto razy stwierdzą, że uważają ją za nader ciekawą i artystyczną — i tak w kółko. Taka polemika nie a nie nie obchodzi szerszych mas czytelników, toteż nie widzę sensu w jej kontynuowaniu.

W moim artykule główny nacisk położyłam na kwestię zainteresowania się twórczością awangardowych pisarzy amerykańskich, jej pilnego studiowania. Przede wszystkim powinniśmy zainteresować się nią twórcy literatury polskiej — nie po to, żeby naśladować jej osiągnięcia, lecz chociażby po to, żeby wiedzieć, jakimi drogami idą ich kolezdy zza oceanu, których dzieła zdobyły sobie opinię wybitnych w całym świecie kulturalnym.

Całkowicie zgadzam się pod tym względem z Z. Bienkowskim, który już od dłuższego czasu nawołuje do tego w szeregu swoich artykułów, próbując chociażby pośrednio zapoznać czytelników polskich z głównymi nurtami literackimi i autorami dzisiejszej Ameryki. Widzę w tym jego zadanie, a nie grzech, i nie rozumiem irytacji, którą budzi jego intencja u niektórych literatów.

Bardzo dobrze czyni „Kuźnica”, że zamieszcza od czasu do czasu próbki nowej prozy amerykańskiej i w taki sposób kompensuje choć w minimalnym stopniu brak tych utworów wśród naszych wydawnictw. Natomiast wydaje mi się całkiem zbytecznym ustawicznie zaopatrywanie tych próbek w ostrzegawczy komentarz (wstrząsając przed użyciem!), nawet jeżeli jest takiego pióra jak Brandysa. Niech czytelnik ma czas zrobić sobie własne zdanie o przeczytanych utworach. Chyba nie jest dzieckiem, a nowelę Steinbecka czy Caldwell’a nie są ani materiałem wybuchowym, ani zbiorowiskiem śmiertelnych zarasków, przed którymi należy to dziecko obronić.

Natalia Kiriłowicz

Mr. Lovett zawiadamia, że USA zaleje nas „literaturą” amerykańską, prawnicowa prasa nawet nie drgnie, ale gdy my tu i ówdzie występujemy przeciw intencjom tegoż pana Lovetta, ta sama prasa zrywa się... przeciw Rosji, która nigdy nie przedsięwzięła dziesiątej części tego, co zapowiada tylko Mr. Lovett. Zaprawdę, rozumowanie naszych „wielkich” intelektualistów jest co najmniej zadziwiające. Jeżeli jednak chcą koniecznie wplątać ZSRR do rozmowy, odpowiemy im z przyjemnością.

Odpowiemy im pytaniem. Gdzie i kiedy odbył się w Ameryce kongres podobny do tego, który miał miejsce w Rosji w czerwcu 1947 roku, gdzie zebrał się wszyscy filozofowie kraju, by dyskutować nad „Historią filozofii zachodniej” Aleksandrowa? Gdzie i kiedy przedstawiono w Ameryce problemy filozoficzne i historyczne najszerzej „publiczności” w celu ich przedyskutowania? Gdzie i kiedy omawiano w Ameryce — i to podczas wojny — problemy nauczania, jak choćby ten, czy wprowadzić studium logiki do nauczania średniego? Nigdy i przy żadnej okazji.

Czy to w Rosji zabrania się używania windy murzyńskim pisarom dlatego, że ich skóra jest czarna? I pod tym samym bezmyślnym pretekstem zamyka się murzyńskiej śpiewawce scenę Opery? Dajcie pokój, panowie adwokaci amerykańizmu, nie usiłujcie porównywać ZSRR z waszym krajem adaptacji! Nie będzie to porównanie dlań korzystne. Ani dla was. Bo miara nie jest równa między Ameryką a Rosją Sowiecką.

A jeżeli nie będziecie w stanie obronić waszej sprawy amerykańskiej, to nie dlatego, że jesteście złymi adwokatami, ale po prostu dlatego, że bronicie fałszywej Ameryki. Ameryki, która potrzebuje wielu obrońców. Bo prawdziwa Ameryka, naród amerykański i kultura amerykańska nie potrzebują adwokatów. Szczególnie jeżeli będą nimi grabarze tacy, jak wy.

Jean Kanapa

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSE ZEBRANE

Nakładem Wydawnictwa „Wiedza”

Cena zł. 550

¹⁾ Utalentowany poeta młodego pokolenia.
²⁾ Wielka firma wydawnicza francuska.

KORESPONDENCJA

O zbiorowy protest w sprawie palestyńskiej

Od pierwszej chwili powrotu mego do Kraju, starałem się — w pismach periodycznych i w prasie codziennej — odsonić przed naszą opinią publiczną kulis bandyckiej polityki anglo-saskiej w Palestynie, — polityki, która rękoma sfanatyzowanych mas arabskich stara się zabezpieczyć swe interesy polityczne i ekonomiczne na Środkowym Wschodzie. Przez długi czas mieszkając w tym kraju, nabrałem uczucia najgłębszego podziwu i miłości dla ludzi, którzy pustynne piaski Negewu, malaryczne błota w Hule i słoje wybrzeża Martwego Morza zdołali przekształcić w uprawne ziemie. Wydarli oni te bezpłodne ziemie śmierci, — oddali je ludzkości, — wierząc, że swoim nadludzkim wysiłkiem zdobędą sobie prawo do życia, oraz prawo do własnego kraju i państwa. Przyznając im je, Narody Zjednoczone spełniły swój najskromniejszy obowiązek, — nie spełniły go natomiast, nie obroniwszy dostatecznie uznanej przez siebie państwa przed prowokacją anglo-saską, która poprzedziła napad na Państwo Izraela. Budzi to tym większą obawę wszystkich ludzi uczciwych, że chwilowe zacięcie w tym kraju, spowodowane miesięcznym rozejmem, ma się ku końcowi.

Głos Pawła Hertza w tej sprawie wyrażał z pewnością uczucia wszystkich pisarzy polskich, podobnie, jak głosy kolegów, którzy odpowiedzieli w „Kuźnicy” na jego apel. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że mogą one stworzyć fałszywy pozór „głosu wolającego na pustyni”, — że mogą być zrozumiane, jako indywidualny protest grupy ludzi, nie mający za sobą oparcia w całej społeczności pisarzy i intelektualistów polskich. W tym przeświadczeniu zwróciłem się swego czasu pisemnie, a potem ustnie, do sekretariatu Zw. Zaw. Literatów z wnioskiem, wynikającym z tych właśnie przesłanek, a domagającym się odpowiedniej deklaracji Związku w sprawie palestyńskiej. Byłem zdania, że straszliwa tragedia narodu żydowskiego w Państwie Izraela powinna znaleźć oddźwięk natychmiastowy, — i że literaci nasi powinni zwrócić się z apelem do wszystkich pisarzy świata, a przede wszystkim do pisarzy angielskich, aby staneli w obronie bestialsko podeptanych praw ludzkich i narodowych Żydów palestyńskich. Jak mi powiedziano, wniosek był przedstawiony władzom Zw. Zaw. Literatów i uchwalono odpowiednią deklarację ogłosić. Dotychczas jednak jeszcze się nie ukazała.

Tę drogą pragnęlibym przyspieszyć jej ukazanie się. Być może, iż głos pisarzy polskich będzie głosem, który obudzi sumienie tych wszystkich intelektualistów świata, którzy nie chcą zakładać sobie spokojnego snu sprawą rozpaczliwej i bohaterkiej walki garści ludzi przeciwko brutalnej przemocy. Być może, iż głos ten spowoduje taki sam zbiorowy protest literatów całego świata, — który zabrzmi donośnie, niżli owa wątpliwa deklaracja, łącząca współubolewanie z ostrożnością, którą odczytaliśmy w wyniku debaty na ostatnim zjeździe Pen-Clubów.

Anatol Stern

ZARZĄD GŁÓWNY

ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

ogłasza

KONKURS LITERACKI

na „HYMN ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ”.

Hymn winien wiązać się tematycznie z ideologią Związku Samopomocy Chłopskiej.

Prace na konkurs należy nadsyłać w terminie do dnia 15 sierpnia b. r. na adres: Związek Samopomocy Chłopskiej, Zarząd Główny, Warszawa, Pl. Starynkiewicza Nr 7/9, z dopiskiem: „Konkurs na Hymn”.

Prace podpisane godłem należy przesyłać w kopercie, wewnątrz której winna znajdować się druga zaklejona koperta opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem i imieniem oraz adresem autora.

1. Warunki konkursu:

- I nagroda 100.000,— zł
- II nagroda 50.000,— zł
- III nagroda 30.000,— zł

2. Nagrodzone utwory stają się własnością Związku Samopomocy Chłopskiej.

3. Jury Konkursu składać się będzie z przedstawicieli:

- Ministerstwa Kultury i Sztuki,
- Związku Zawodowego Literatów,
- Związku Zawodowego Kompozytorów,
- Związku Samopomocy Chłopskiej.

4. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone dnia 15 września 1948 r.

(7890)

TREŚĆ NR 29:

Mieczysław Wionczek — Z prehistorii polityki anglosaskiej w Niemczech powojennych; Leon Gomołki — „Wojnarowski”; Aleksander Radyszczew — Z „Podróżnicy z Petersburga do Moskwy”; Jan Śpiewak, Stanisław Wygodzki, Stanisław Pięta — Wiersze; Stanisław Zieliński — Opowiadania; Stefan Żółkiewski — Na marginesie XXV tomu „Nauki Polskiej”; Adam Bromberg — Książek coraz więcej; Józef Sieradzki — Sprzymierzeniecy; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

Noty

Proroctwo

Międzynarodowa Agencja News Service donosi dosłownie:

„Dowiadujemy się z kół emigrantów węgierskich w Szwajcarii, pozostających w stałym kontakcie z węgierską emigracją polityczną w Mieście Watykańskim, że papież Pius XII odegrał decydującą rolę w zarzysowaniu się obecnego konfliktu pomiędzy kościołem katolickim na Węgrzech, a rządem tego kraju.

Jak wiadomo, katolicy węgierscy pod przewodnictwem kardynała-prymasa Mindszenty'ego przyjęli wrogą postawę wobec projektów sekularyzacji szkół wyznaniowych w Budapeszcie.

Według informacji, pochodzących z przytoczonych wyżej kół, kardynał Mindszenty zwrócił się poufnie do Rzymu z prośbą o wskazówki, jak się ma zachować w tym kryzysie.

Na tę prośbę odpowiedział mu sam papież Pius XII, zachęcając katolików węgierskich do jak największego oporu.

Zalecił im bowiem na drodze poufnej, aby trzymali się ściśle stanowiska gwałtownej opozycji w ciągu najbliższych pięciu do sześciu miesięcy, gdyż po upływie tego czasu mogą powstać zmiany tak doniosłe w stosunkach między wielkimi mocarstwami, że Moskwa będzie zmuszona polecić komunistom węgierskim, aby ustąpili nie tylko w sprawach religijnych, lecz również w innych jeszcze dziedzinach...”

Na tę niedawno listu papieskiego do biskupów niemieckich to proroctwo wygląda raczej na konsekwentną i niemaskowaną już politykę.

cr

Śmierć wyspy

Stany Zjednoczone przystąpiły do całkowitego opróżnienia z mieszkańców należącej do Porto-Rico wyspy Vieques, która ma się stać bazą operacyjną amerykańskiej floty wojennej. Z 11 tys. mieszkańców połowa otrzymała już nakaz opuszczenia wyspy do końca roku bieżącego, reszta spodziewa się takiego nakazu w czasie najbliższym.

Generalna konfederacja pracy w Porto-Rico uznała w swych wypowiedziach decyzję marynarki amerykańskiej za „nieczym nieusprawiedliwiony akt agresji”. Podobne stanowisko zajęł szereg innych grup politycznych.

Wyspa Vieques, licząca 33 kilometry długości i 8 kilometrów szerokości, posiada najlepsze w Porto-Rico pastwiska, a w tamtejszych rafineriach produkuje się 200 tys. ton cukru z trzciny cukrowej rocznie.

Porto-Rico jest kolonią cierpiącą na niedostatek ziemi, przeciętnie bowiem przypada jej 40 arów na mieszkańca, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych ten sam stosunek wyraża się cyfrą 280 arów.

Istnieją wszelako konieczności strategiczne, dla których żywna wyspa ma się zamienić w pustynię...

cr

Szczyt demokracji

Amerkańskie towarzystwo produkcji samochodów „General Motors” ma swego upelnomocnionego mówcę propagandowego. Nazywa się Adam K. Stricker.

On właśnie ostrzegł ostatnio podkomitet pracy w Izbie Reprezentantów przed strasliwym niebezpieczeństwem, jakie wylania się na tle popierania akcji oświatowo-robotniczej.

Stricker oświadczył, że przysłuchując się kursom wieczorowym w Detroit popadał niejednokrotnie w osłupienie, czyniono bowiem bezceremonialny użytek z pamfletów, krytykujących inflację i podwyżkę cen. Zdumiewał się poza tym, że „wymieniono po imieniu” senatorów i członków Izby Reprezentantów, którzy przyczynili się do zniesienia kontroli cen.

I to wszystko niejaki pan Stricker mówi w kraju, uznającym swe urządzenia za szczyt demokracji.

cr

W obronie pism literackich

Nad wyraz słuszny felieton podpisany pseudonimem „Rondo”, a stanowiący odpowiedź cytowanemu przez nas „Przegląd Prasy” Szelągowi ze „Szpilek”, znajdujemy w nr. 24 atakowanych przezeń „Nowin Literackich”. Czytamy w nim:

„Narzekanie na tygodniki literackie jest u nas ostatnio dość modne. Proszę bardzo — trzeba jednak wiedzieć jak wolno narzekać, jakie zaś narzekanie nie ma nic wspólnego z życzką krytyką, lecz staje się upartym, natrętnym „narzekactwem”. Znamy to na-

rzekactwo, generalne krzywienie nosem na wszystko — z innych dziedzin, i wiemy, jak (nawet uprawiane w dobrej wierze) jest szkodliwe dla rozwoju naszego odbudowującego się życia. Oczywiście, wolno komuś mniemać, że wszystkie tygodniki literackie (a także na przykład wszystkie współczesne symfonie, albo powieści, albo operetki, albo wszystkie obrazy Picassa) są nudne, ponieważ nudzą oną osobistą właśnie owego „kogoś”; mniemanie tego nie należy jednak rozpowszechniać — pod groźbą ośmieszenia się — dopóki nie ma się na jego poparcie odpowiednich argumentów. Jeden przykład, nawet słuszny, nie może być powodem żadnego twierdzenia ogólnego; wydałoby się zaś, że publicyści, nawet leższego autoramentu, nie powinni w pracy swej zapominać o zasadach, wpojonych im kiedyś przez nauczyciela logiki w szkole średniej...”

Sprawa przeladowania pism literackich artykułami teoretycznymi jest dziś na różnych szpalach walkowana. Bez wątpienia, można i należy domagać się, aby piszący sprawdzali swoje wnioski ogólne przy pomocy odpowiednio dobranych przykładów praktycznych, samo jednak narzekanie na nadmiar teorii w literackich tygodnikach, czyni takie wrażenie, jak gdyby ktoś miał pretensje do kościoła, że go nudzi, ponieważ są w nim „same” nabożeństwa.

Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak groźny jest coraz częściej tu i ówdzie manifestowany „kult ostatniej strony”; świadczy on bowiem, że to co miało być dodatkiem, urozmaiceciem, rozrywką, lukrem na torcie, staje się dla pewnej grupy czytelników istotną treścią i właściwym pokarmem. Sądzę, że do najbardziej podstawowych obowiązków kulturalnego publicysty, mającego ułatwiony dostęp do szerokiego grona czytelników, należy winno tępienie tego nad wyraz nieprzyjemnego objawu, ukazywanie nowemu czytelnikowi właściwej hierarchii w treści literackiego pisma, uczęszanie go należytego sposobu korzystania z lektury...”

„Czas by już był wreszcie skończyć z nonsensownym przesądem, że teoretyczne zagadnienia literatury są sprawami zawodowymi literatów — i nieczym więcej — pisze dalej cytowany przez nas felietonista. — Rozważania teoretyczne nie nadają się dla dzienników, których zadaniem jest właśnie informowanie czytelnika o aktualnych wydarzeniach wszelkiego typu — obok polityki i o kulturze. Od dzienników domagaliśmy się i nadal domagamy aktualności. Mylił się jednak Szeląg, twierdząc, że informowanie czytelnika o aktualnych nowościach z dziedziny kultury jest głównym zadaniem prasy literackiej. W hierarchii zadań twórczego pisma literackiego szybkość informacji na pewno idź na ten a ten koncert”, stokroć ważniejsze jest ogólne zorientowanie czytelnika w kierunkach współczesnej muzyki. Nasze teoretyczne artykuły najwięcej właśnie mówią o życiu”.

rkm

Odpowiedź

P. Marian Piechał ogłosił w „Tygodniku Powszechnym” list, w którym skarży się, że wskutek rozgłaszania przeze mnie nieślusnych zarzutów pod adresem jego osoby, doznał wielu przykrości natury towarzyskiej, społecznej, zawodowej. Nie wdając się z p. Piechałem w dyskusję na tematy moralne, oświadczam, że osobą p. Piechała nie zajmuję się zupełnie, a sąd o nim jako o pisarzu i ideologu — bardzo niedobry, lecz nieupubliczowany — jest moim sądem prywatnym, którego motywacją nie mam zamiaru podawać do wiadomości powszechnej.

Mieczysław Jastrun

Opuszczone nazwiska tłumaczek

W nr-ze 21 (142) „Kuźnicy” ukazały się pod wspólnym tytułem „Książka czeska w Polsce” cztery recenzje z przekładów książek czeskich: Juliusza Fuczika „Reportaż spod szubienicy”, Waclawa Rzezcza „Krawędź”, Jana Drdy „Miasteczko na dłoni” i Adolfa Hoffmeistera „Turysta mimo woli”. Przez nieopatrzenie redakcji w notach bibliograficznych dwu pozycji nie wymieniono nazwisk tłumaczek. W związku ze zwróceniem nam uwagi na to przeoczenie podajemy, że „Reportaż spod szubienicy” Juliusza Fuczika przełożyła Helena Gruszczyńska - Dubowa, a „Krawędź” Rzezcza — Maria Erhardtowa.

Apel do społeczeństwa o dary lub wiadomości dla biblioteki Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej

Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, jako najpoważniejszy ośrodek skupiający teoretyków i praktyków teatru i młodzież, kształcącą się w tej dziedzinie, od chwili swego powstania podjęła pracę organizowania biblioteki o charakterze naukowo-teatrologicznym, zapoczątkowanej kilkusetletnim powojennym zbiorem Studia P.I.S.T.

W 1939 r., podczas oblężenia Warszawy spłonął dawny, bogaty księgozbiór PIST i jego cenne archiwum. W czasie okupacji, podczas powstania i po jego zlikwidowaniu uległy zniszczeniu bardzo cenne zbiory prywatne (Schillera, Brumera i in.); zdekompletowany został księgozbiór M. Rulikowskiego, nie mówiąc już o niepowetowanych stratach jakie poniosła polska wiedza teatrologiczna spowodowana spaleniem biblioteki Krasieńskich, Zamowskich, Przędzieckich, Archiwum Akt Dawnych itp.

Utworzenie biblioteki naukowo-teatrologicznej jest więc niezbytnym warunkiem pracy naukowej w tej dziedzinie i poważnych studiów przyszłych aktorów, reżyserów i krytyków teatralnych.

Rozpiętość studiów w P.W.S.T. wymaga gromadzenia w bibliotece poza ściśle teatrologicznymi dziełami, także opracowaniami naukowymi z zakresu historii kultury, socjologii, historii teorii i krytyki literatury, estetyki, historii sztuk plastycznych, kostiumologii, ludoznawstwa i muzykologii. Ponadto biblioteka zbiera encyklopedie, słowniki języka polskiego i języków obcych, czasopisma literackie i muzyczne, partytury, wyciągi fortepianowe i libretta oper, oratoriów, operetek i wodewiłów.

W związku z tym Rektorat P.W.S.T. zwraca się z prośbą do wszystkich osób prywatnych i instytucji posiadających jakiegokolwiek polskie czy cudzoziemskie dzieła w wymienionych wyżej dziedzin, by zechcieli przekazać je bądź jako dary, bądź odsprzedać po cenach przystępnych Bibliotece Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Wszyscy zaś, którzy wiedzą o istnieniu księgozbiorów niemieckich u osób niepowołanych, są proszeni o zawiadomienie sekretariatu P.W.S.T., Łódź, ul. Gdańska 32, telefon 113-05, ten zaś przy współdziałaniu władz państwowych poczyni starania o przyznanie tych zbiorów bibliotece teatrologicznej.

Mamy nadzieję, że społeczeństwo polskie, doceniając znaczenie pierwszej Wyższej Szkoły Teatralnej w naszym kraju, zechce przyczynić się do pozytywnej jej działalności swą pomocą i swymi ofiarami.

Rektor i Rada Naukowa Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej

KONKURS LITERACKO-NAUKOWY

Celem zainteresowania młodzieży i społeczeństwa polskiego zagadnieniami, związanymi z Ziemią Odzyskaną i Słowiańszczyzną Zachodnią, Centrala Akademickiego Związku Przyjaciół Łużyck „Prolet” w Poznaniu ogłasza

KONKURS LITERACKO - NAUKOWY

na:

- 1) utwory literackie (powieść, nowela, opowiadanie; wiersz, przekład);
- 2) opracowania naukowe (prace naukowe, referaty popularyzacyjne).

Wymienione utwory powinny być tematycznie związane ze sprawami historii, prehistorii, kultury (literatura, muzyka, folklor), geografii lub zagadnień gospodarczych Łużyck, ze szczególnym uwzględnieniem udziału Słowiańszczyzny Zachodniej, w walce z Niemcami na przestrzeni dzieł.

Nagrody ustalono w wysokościach:

- I nagroda — 30.000,— zł.
- II „ — 20.000,— „
- III „ — 10.000,— „

oraz trzy nagrody po 5.000,—

W skład jury konkursowego wejdą: przez Wacława Chruszowskiego, dr. Józef Kostrzewski, dr. doc. Wacław Kubański, prof. dr. Roman Polak, red. Tadeusz Powidziński, prof. dr. Zygmunt Śweryński oraz jeden przedstawiciel Zarządu „Proletu”.

Prace konkursowe należy nadsyłać w zamkniętej kopercie opatrzonej godłem pod adresem: Akademicki Związek Przyjaciół Łużyck „Prolet” Centrala w Poznaniu ul. Kantaka 3 „Konkurs literacko-naukowy”. W osobnej zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem należy umieścić imię, nazwisko i dokładny adres autora. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 października 1948 r. Ogotowanie wyników konkursu nastąpi w dniu 15 listopada 1948 r. Zarząd Główny „Proletu” zastrzeżenie sobie prawo wykupu i pierwodruku szczególnie cennych prac.

Komunikat

W związku z przygotowywaniem przez Wydział Literacki Domu Wojska Polskiego „Antologii humoru i anegdoty żołnierskiej”, która ukazać się pod redakcją Jana Śpiewaka i będzie zawierała wiersze, anegdoty, dowcipy, krótkie humorystyczne opowiadania, ilustrujące humor w okresie walki Pierwszej i Drugiej Armii W. P., oddziałów partyzanckich w kraju, oraz oddziałów wojskowych na zachodzie, — Dom Wojska Polskiego zwraca się do uczestników tych walk, do bibliofilów posiadających druki z tego rodzaju utworami, wydanymi w kraju lub za granicą, oraz do tych wszystkich, którzy znają tego rodzaju anegdoty, dowcipy, wiersze, piosenki o nadsyłanie wszelkich materiałów pod adresem: Dom Wojska Polskiego, Wydział Literacki, Warszawa, ul. Królewska 13, z dopiskiem „Humor i anegdota żołnierska”.

Materiały przez nas wykorzystane będą honorowane według ustalonych ogólnie stawek.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Henryk Wężycki: Historia polityczna Polski w dobie powojennej 1864—1918. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 377.

Wolter: Tak toczy się świat. Przetł. Boy. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 260.

Henryk Murger: Sceny z życia cyganerii. Tłum. Boy-Zelenisk. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 403.

Janina Przeworska: Serca pod zgrzebnym płótnem. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 159.

A. Dorabińska: Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie. Wyd. II, uzupełn. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 147.

A. J. Cronin: Gwiazdy patrzy na nas (Powieść). Nakł. wydawn. J. Przeworskiego, Warszawa 1948, tom I — str. 282, tom II — str. 295.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piórkowska Nr 96. — Telefon 204-75

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”

D—023523 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrki 2.